PIENIĄDZ CZY OSOBA?

187. M. Konon

PIENIĄDZ CZY OSOBA?

KOMEDJA W 3 AKTACH

napisała

z Bardzkich Anna Karwat.

TORUŃ.

NAKŁADEM AUTORKI.

Druk J. Buszczyńskiego.

1880.

OSOBY.

PAN SZUMSKI.

PANI SZUMSKA.

ZOFJA, ich córka.

HALINA.

WACŁAW.

JERZY.

JAN.

BASIA.

WIEŚNIACY i WIEŚNIACZKI.

Rzecz dzieje się na wsi, w domu Szumskich

AKT I.

Scena przedstawia elegancki salon, kanapa, fotele, stół po lewej stronie od widzów, po prawej krzesła, stoliki, na nich robótki etc. Drzwi głębią, drugie po prawej, trzecie po lewej od widzów.

SCENA 1.

PANI SZUMSKA, PAN SZUMSKI, ZOFJA, HALINA, JERZY.

(Siedzą przy stole po lewej i piją herbatę).

ZOFJA

(podając cukier Jerzemu).

Zdaje mi się, że pan Jerzy cukru nie ma, proszę.

JERZY

(biorąc cukier).

Ślicznie pani dziękuję.

HALINA

(z zdziwieniem).

Tyle cukru!

ZOFJA.

Powinnaś się o to gniewać.

PANI SZUMSKA.

Nawet bardzo.

JERZY.

Nie rozumiem — czemu?

PAN SZUMSKI.

Panna Halina dobrą będzie gosposią, bo zawczasu uczy narzeczonego oszczędności.

HALINA
(z uśmiechem).

Zanadto pochlebne o mnie mniemanie, łaskawi państwo. — (do Jerzego) Godziżto się pić tak słodką herbatę przy narzeczonej?

ZOFJA.

Rzeczywiście, wszak każda kobieta sama cukierkiem — pan Jerzy inaczej sądzi?

JERZY.

Gniewacie się więc, moje panie?

HALINA.

Gniewamy się serdecznie.

JERZY
(całując Halinę w rękę).

Błagam przebaczenia.

ZOFJA.

To za mało!

PAN SZUMSKI.

O, biedny panie Jerzy — dzięki niebu, że rola narze-

czonego dla mnie już przed dwudziestu laty skończona! — — Kobiety, kobiety!

JERZY.

I cóż mam czynić, by dawne odzyskać łaski?

HALINA.

Na przebłaganie proszę nas słodko zatytułować.

PAN SZUMSKI
(do Jerzego).

Przyjdę panu w pomoc, nazwij je pomadkami.

ZOFJA.

O, dziękujemy.

HALINA.

Pomadki niedobre — — mdłe.

} Razem.

PANI SZUMSKA.

Moje panienki energiczne, a na pomadkach wszystko wycisnąć można, porównanie kuleje.

PAN SZUMSKI.

Uchowaj je Boże od energji — nie byłoby się panem w domu, panie Jerzy: Wszedłbyś z cygarem, jejmość pani zaraz — „mój Jerzy, nie znoszę dymu“ — — pisałbyś listy, rejestra, przeglądałbyś rachunki, a jejmość: „Jerzy, ciągle piszesz, czy kierujesz się na literata?“ Wyjedziesz raz w dwa tygodnie — „Jerzy, już znów się w podróż wybierasz, doprawdy, że z ciebie

nic nie mam!“ Słowem, w końcu słuchałbyś tylko ciągle „Jerzy, Jerzy, Jerzy“, i tak przygnębiony wszedłbyś z rozpaczy nie *pod* pantofel królowej, uchowaj Boże, bo tam byłoby jeszcze za obszerne miejsce do działania, lecz wsadziłaby cię głęboko *w* pantofel, w najciaśniejszy kącik, tam gdzie zwykle paluszki swe chowa.

PANI SZUMSKA.

Dobre czasy, jeżeli nawet Stanisław dziś żartobliwy. Nie pojmuję tylko, zkąd ci to surowe mniemanie o kobietach, a jeszcze wypowiadasz je w obecności narzeczonego, gotów stracić szacunek dla płci pięknej.

HALINA
(do Szumskiego).

Koniecznie chciałbyś, łaskawy mój panie, podburzyć mi narzeczonego, ale zdaje mi się, że to napróżno.

JERZY
(do Haliny).

Napróżno, napróżno cała praca, zaręczam pani.

PAN SZUMSKI
(do Haliny).

Jeżeli pana Jerzego nie przerobię, to w każdym razie z panią będę szczęśliwszy — kobiety niestałe, zmienne jak marcowe powietrze.

HALINA.

Biedne kobiety — na tyle przycinków nie zasłużyły sobie. — Panie Jerzy, powinieneś nas pan bronić.

JERZY.

Nie chciałbym psuć miłych żartów panu Szumskiemu, z powagą taką trudno walczyć.

SCENA 2.

CIŻ i BASIA.

(Basia wnosi listy na tacy i podaje je p. Szumskiemu, wszyscy wstają i otaczają Basię.

BASIA.

Proszę jaśnie pana, są listy z poczty.

HALINA.

Listy!

PANI SZUMSKA.

Może od brata? } Razem.

ZOFJA.

Może do mnie który?

PAN SZUMSKI

(przeglądając adresy).

Zaraz — — zaraz — — moje panie; kobietom zawsze na cierpliwości zbywa, (oddając list Halinie) do pani, reszta do mnie.

HALINA

(spojrzawszy na list).

Doprawdy, że do mnie — dziękuję, ale tylko za list, a nie za powtórną naganę dla kobiet.

(Basia wynosi przybory od herbaty i wychodzi głębią).

SCENA 3.

CIŻ prócz BASI.

(Pani Szumska, Zofja, Jerzy biorą pisma do ręki, pan Szumski od czasu do czasu wgląda w listy, Halina bawi się listem, ale go nie czyta).

PAN SZUMSKI.

Fałd przysiadać mi nie wolno, bo moja Mania pewnieby się na to skwasiła, więc zostało mi tylko trochę przyjemności z czasów kawalerskich — t. j. czasami pożartować z płcią nadobną.

HALINA.

Alboż to sumiennie drugim krwi napsuć? — —

PAN SZUMSKI.

Sumienie milczy, gdy wojna z damami staje się przyjemną — — czasem tylko bardzo może być niebezpieczną, trzeba znać strategią. Żartuj i kłóć się z kobietą co do woli, byleś jej nie ubliżył, a wiecznie ci będzie łaskawą; ale gdybyś, gdybyś choć raz jeden w czemkolwiek jej ubliżył, przepadłeś — biada ci! Całe twoje życie dogryzać ci będzie złośliwością, a gdy cię na księżej oborze zagrzebią, z grobu cię jeszcze wyrzucić każe i pantoflem obije!

ZOFJA.

Podobnie twierdził mędrzec czy poeta, nie przypominam sobie dokładnie, ale na naszą obronę powiem, że za wiele w tem przesady.

JERZY.

Zupełnie z panią się zgadzam, nie przypisuję tyle mściwości kobiecie.

HALINA.

Wdzięcznam panu za obronę — przynajmniej jednego mamy sprzymierzeńca.

PAN SZUMSKI.

Wierzcie mu, wierzcie mu tylko, bo jakżeż inaczej wypada mówić w obecności narzeczonej?! Ale, jak my tak sobie w cztery oczy przy cygarze — — to wcale brzmi inaczej!

HALINA.

Czy doprawdy?

JERZY.

Może — —

HALINA.

A, pan niedobry — — to nieładnie.

JERZY
(całując w rękę Halinę).

Poprawię się.

PAN SZUMSKI.

Każdy medal ma swoją odwrotną stronę.

PANI SZUMSKA.

Ależ Stanisławie pogniewasz ich na dobre.

PAN SZUMSKI.

Gniew przyspiesza trawienie, będą mieli dobry apetyt, a pora obiadu się zbliża.

HALINA.

Widziałam, że zagniewani nic nie jedzą.

PAN SZUMSKI.

Bo czynią to z przekory — a z głodu język do krwi gryzą, znam ludzi.

PANI SZUMSKA
(do Szumskiego).

Żarty twoje pewnie nie odniosą pożądanego skutku, narzeczonych nie pogniewasz, ale boję się, żebyś im humoru nie popsuł.

PAN SZUMSKI.

A właśnie chciałbym widzieć zagniewaną pannę Halinę, bo pan Jerzy korzystałby z tego niemało; różne wyprowadziłby wnioski na przyszłość, słowem, przekonałby się, czy dobrą będzie miał żonę.

JERZY.

Ani chwili o tem nie wątpiłem jeszcze, ale korzystałbym inaczej z gniewu mojej pani, przepraszałbym ciągle, a przeprosiny takie mają dużo, dużo słodyczy w sobie.

PAN SZUMSKI.

Zdaje się, że mówi z doświadczenia.

ZOFJA.

Ciągle im towarzyszę, a nie spostrzegłam ani razu, żeby się po...

PAN SZUMSKI
(kończy za Zofję).

czubili — — ha, ha, ha.

HALINA.

Panie Jerzy, nieprzyjaciel naciera, trzeba walczyć mężniej.

JERZY.

Uczyniłbym to z chęcią, ale nie widzę koniecznej potrzeby, by dobywać ostrza — pan Szumski, mając przy boku swoim tak zacną towarzyszkę życia, zanadto wielbi w cichości serca płeć piękną, by z nią zaciętą prowadzić walkę.

PAN SZUMSKI.

Ha, podciął mię — rana prowadzi do lazaretu.

HALINA.

Zwycięztwo po naszej stronie!

PAN SZUMSKI
(z ironją).

Jak zwykle — —

PANI SZUMSKA.

Skapitulował.

PAN SZUMSKI.

I tobie się poddaje.

(W głębi Jerzy rozmawia z Zofją, Halina roztwiera zwolna list, Szumscy rozmawiają z sobą po prawej od widzów).

Słuchaj Maniu, jakieś ważne listy — chodzi tu o Zofję — —

PANI SZUMSKA.

O Zofję, może jaki konkurent?

PAN SZUMSKI.

Właśnie — — chodź przeczytamy i naradzimy się.

(Odchodzą w lewo).

SCENA 4.

ZOFJA, HALINA, JERZY, później Basia.

(Jerzy i Zofja w głębi, Halina bliżej widzów, siedzi i czyta).

HALINA

(zrywając się nagle z miejsca).

Co kawaler to warjat!

JERZY.

Dziękuję w imieniu wszystkich.

ZOFJA.

Doskonałaś Halino!

HALINA

(na stronie).

Masz tobie, anim wiedziała, że tu są, cóż powiem?

(głośno) Niełądnie podsłuchiwać. — — Troszkę za głośno myślałam, a myślałam o jednym, bo przecież nie wszyscy narwani, odwołuję, drugiej wojny nie myślę prowadzić — — ale pocóż pisze —?

JERZY.

Pisze? Kto taki? Może brat pani, którego nie znam jeszcze, a z duszy radbym poznać jaknajprędzej, dużo mówiono mi o nim, pisano; ale pani milczysz — ciekawością mię dręczysz. — Czy przyjeżdża? Kiedy?

HALINA.

Ulubione pańskie wyrazy „dręczy, męczy“ — (na str.) a przytém jeszcze zawsze trochę zazdrości. (głośn.) Przyjeżdża — — (na str.) powiem prawdę, bo im więcej tłomaczenia tém głębiej się wpada. — (głośno) Przyjeżdża, ale nie brat — — — oświadczono mi się połowicznie.

JERZY.

Pani?

ZOFJA.

Tobie?

} Razem.

HALINA.

Wyobraźcie sobie i ja mam jeszcze szczęście, pomimo tego, że mam narzeczonego; a to rzecz nader fenomenalna, ale tém powabniejsza.

JERZY
(niespokojnie).

Na miłość Boską któż taki?!

HALINA.

Zechciej się pan uspokoić, niebezpieczeństwa jeszcze nie ma — — — później, nie wiem. — —

ZOFJA

(do Haliny).

Żal mi go, pocóż go dręczysz?

JERZY

Pani zakrawa na bolesne żarty.

HALINA

(na stronie).

Już teraz — cóż później będzie? (głośn.) Żeby nie pomnożyć niepokoju pana Jerzego, wypowiem całą prawdę: Z listu tego wyczytałam, że przyjeżdża jakiś pan Adolf, człowiek bardzo majętny, bogacz całą buzią, ale straszydło i niezdara, i ... ... i... będzie wybierał, albo Zofję, albo mię.

JERZY.

Ależ pani żartuje?

ZOFJA.

Figle, figle, moja Halko.

HALINA.

Wierzcie mi, mówię na serjo — — (na str.) bo zmyślać już muszę.

BASIA
(wbiega zadyszana środkiem).

Goście jadą — jakiś pan, czwórką, koczem i z lokajem!

ZOFJA.

Idź — poproś tu, ja biegnę do mamy.

(Basia i Zofja wychodzą, Basia głębią, Zofja w lewo).

HALINA.

Zdaje mi się, Basia mówiła, że panowie przybyli, bądź pan łaskaw uwiadomić pana Szumskiego, bo na Basię nie można się spuścić, a pan Szumski możeby się gniewał, gdybyśmy go nie uwiadomili.

JERZY.

Pełnię rozkazy pani, (wychodząc w lewo) widocznie chce, bym jej nie pilnował, a ten gość może być niebezpiecznym.

SCENA 5.

HALINA sama.

HALINA
(oddycha).

Nareszcie ich się pozbyłam — — — samotności potrzeba, by przyjść do zmysłów. — — Oj, oj, braciszku Wacławie, jabym cię zamknęła na sześć miesięcy do Bonifratrów! — Najpierw, ani myślał się żenić, bo kobiecie nie wierzył; później choroba się przesiliła, wiara weń wstąpiła, ale twierdzi, że każda kobieta

najwyżéj może się kochać w pieniądzach, a nie w osobie jego, że każda idzie dla tego zamąż, by mieć własny dom etc. etc. — — słowem, miljon niedorzeczności wypowiedział, choć cały światły jak księżyc w pełni! Dziwne jego zapatrywania rodzą dziwaczniejsze plany. — Dla niego tu siedzę od kilku tygodni i badam Zofję, choć znam ją od dawna, dla niego tylko wiecznie ją pytam, czy ceni więcéj pieniądze, czy osobę konkurenta. Dziewczyna jak złoto, jak balsam, tylko do rany przyłożyć, a każdą zagoi, anielską byłaby żoną dla Wacława. Nie zna jéj osobiście, więc jéj i nie wierzy, ale ceni widać, bo przyjeżdża, to postęp już wielki; tylko jak przyjeżdża?! Jana lokaja, niezdarnego do śmieszności, stroi na pana Adolfa bogacza, sam zaś będzie lokajem! — Nie wiem, czy się śmiać czy gniewać? (po chwili śmiejąc się) Ha, ha, ha, sama mam się umizgać do Jana, żeby Zofja więcéj go ceniła — — Jezus — Marja, ale w domu takich Szumskich uważających na wszystko, taką intrygę zawiązywać, to więcéj niż pomięszanie! Skompromituje nas, a jeszcze wszystko w sekrecie przed mamą, bo nigdyby nie zezwoliła. — — Na Zofję takie sidła nastawiać — — a miałaby się w czem zakochać — — — gotowa się na zawsze pogniewać. —

SCENA 6.

HALINA, WACŁAW, JAN.

(Wacław przebrany za lokaja, z torbą podróżną w ręku, Jan w eleganckiem podróżnem ubraniu, pince-nez na nosie, odgrywa pana niezręcznie, Wacław wchodząc popycha Jana naprzód).

WACŁAW

(cicho do Jana).

Idź śmiało, mazgaju.

JAN

(staje przy drzwiach i kłania się niezręcznie).

Kłaniam państwu.

HALINA

(wybucha śmiechem).

Otóż ich macie, ha, ha, ha.

WACŁAW.

Na Boga, Halino, zdradzisz!

JAN

(Jan uradowany całuje w kolana Halinę).

Toćto nasza panienka!

WACŁAW

(niespokojnie).

Zgubiony jestem! — Cicho hultaju, pamiętaj żeś panem Adolfem, jak?

JAN

(z niezadowolnieniem).

A toć Agolfem.

WACŁAW.

Adolfem, trutniu, więc słuchaj, raz jeszcze ci powtórzę: jedziesz z pod Warszawy, masz tam dobra swoje, chcesz się żenić, słyszałeś, że tu piękne bawią panie.

JAN
(zakłopotany).

Jaśnie wielmożny panie, ale jak ja będę gadał do takich dostojnych państwa, a jeszcze starych.

WACŁAW.

A gadaj sobie jak do włódarza, Macieja i Bartka z naszej wsi, tylko nie powiesz Szumski, Szumska, ale panie, pani — — a umizgaj się do panien, do pani naszej również, ona ci to przebaczy.

JAN
(skrobie się w głowę).

Ale jakoż się umizgać do takich cienkich panien.

WACŁAW

No — — jak do Kasi, Marysi.

HALINA.

Ależ Wacławie, to za wiele!

JAN.

A wej, mówiłem — — już panna nasza się gniewa, a cóż dopiero ta cudza — — a jak tamtej gadać?

WACŁAW.

Panno Zofjo.

JAN.

Panno Zo—fi—jo — dyć to niełednie, kiej to może lepiéjby było tak, jak mówią naszéj owczarzównej, no — — panno Zocho.

HALINA.

Wacławie!

WACŁAW.

Gapski.

} Razem.

(do Haliny) Uspokój się, wszystko pójdzie dobrze.

JAN

(na stronie).

Wolałbym noże czyszczyć w kredensie, człek mógłby sobie i coś zaspiewać — — i o Marysi pomyśleć — — a tu nic — jeno ciągle „uważaj i pamiętaj“! Siedź w tym sztywnym kołnierzu, (poprawia kołnierzyk) co ledwie ci karku nie zetnie, ledwie, że cię nie zdusi! Ale jeno powrócę do domu, dam ja téj tłustéj praczce Korduli za to, że tyle mączki zmarnowała na umartwienie biednego człeka. — (do Wacława) Ej, co też to jaśnie panu z tego przyjdzie, że człeka na dudka wystrychnie — — a co też i mnie biednemu z tego?

WACŁAW.

Janie, spodziewam się, że jesteś z przywiązaniem do całéj naszéj rodziny; wychowaliśmy się prawie razem,

ztąd też rachuję na twoją przychylność i wiele ci powierzam. Słuchaj, masz się przyczynić do mego szczęścia.

JAN.

No — — no — — kiedy tak, to już i kołnierz nie sztywny.

WACŁAW
(klepiąc go po ramieniu).

Dobryś mój Janie, a jak mi się gracko spiszesz w całej tej sprawie, dam ci kilkadziesiąt złotych.

JAN
(skrobiąc się).

No, no, jakoś znosić już trzeba.

HALINA
(do Jana).

Tylko bądź trochę uważny i zręczny, byś nikomu nie ubliżył; państwo Szumscy bardzo zacni, bardzo na wszystko uważają.

JAN.

Kiej ja gadać nie potrafię.

HALINA.

Gadaj mało.

WACŁAW.

Nie strasz go Halino, bo jak gapia utnie, to przepadnie; darmo, na Szumskich nie można uważać, tu

chodzi o rzecz większej wagi, o szczęście Zofji i moje. Więc, mój Janie, gadaj co ci tylko ślina do ust przyniesie, tylko śmiało; (słychać kroki za sceną) ty zaś uchodź Halino, bo słyszę kroki, ktoś nadchodzi, a nie trwóż się niczego — pójdzie jak po mydle.

HALINA
(uchodząc w lewo).

Daj Boże, żeby moje obawy były płonne.

SCENA 7.

WACŁAW, JAN I BASIA.

BASIA
(wchodzi głębią i staje przed Janem).

Jaśnie wielmożny pan nasz przeprasza, że zaraz nie przychodzi, bo zajęty bardzo, ale prosi, by jaśnie wielmożny pan raczył wypocząć po podróży w tym oto pokoju (roztwiera drzwi na prawo).

JAN
(na stronie).

Wolałbym z nią pogadać — — szykowna bestyjka.

WACŁAW
(staje przy drzwiach na prawo i wpycha w nie Jana, również stawia torbę za drzwi i zamyka je).

Jaśnie wielmożny zmęczony, spocznie i przebierze się, proszę panny o wodę i ręcznik dla niego.

BASIA.

Wszystko gotowe dla gości.

SCENA 8.

WACŁAW, BASIA.

WACŁAW.

Jak ci na imię panienko?

BASIA.

Basia, ale ja nie żadna panienka, niech pan lokaj mię tak nie nazywa. Basiu, mówiła matka, ojciec, a jak mi pomarli, państwo zabrali do siebie i też mówią: Basiu. Błażej od kowala, Marysia od pasterza też gadają Basiu, cała wieś tak mię nazywa, tylko jeden ten Kuba parobek, to jak mię zdybie, na złość mi zaśpiewa: trarara, tańcowała Barbara.

WACŁAW

(na stronie).

Naiwne dziewczę. (głośno) Jeżeli ci ten Kuba to jeszcze powtórzy, to powiesz mu, że lokaj Jan mu w łeb wystrzeli, jakiem chłop z chłopów, Kudelak Jan! — Ot tak (pokazuje ręką) pif — paf!

BASIA

(krzycząc).

Jezus — Marja — zabije!

WACŁAW

(na stronie).

Krzyczy jak najęta — — (do Basi, grożąc palcem) cicho

piękna Basiu, (na stronie, odchodząc w prawo) chciałem coś więcej powiedzieć — — i sam sobie popsułem.

BASIA.

Oj dostanę za te krzyki, ale szykowny ten lokaj, opłata z nim gadać. (wychodzi głębią).

SCENA 9.

PAN SZUMSKI i PANI SZUMSKA.
(Wychodzą zwolna z lewej strony).

PANI SZUMSKA.

Zdaje mi się, że tu słyszałam krzyczącą Basię, może ten lokaj — —

PAN SZUMSKI.

Zawsze się wdajesz w takie drobnostki — do rzeczy, do rzeczy.

PANI SZUMSKA.

Więc jak się nazywa nasz gość?

PAN SZUMSKI.

Powtarzam już po trzeci raz — Adolf — i z góry zapowiadam mniejsza, czy brzydki lub ładny, ale szlachcic, to mi wystarcza, a potem że bogaty — — — — (zaciera ręce). Wiesz, żono, to właśnie w porę.

PANI SZUMSKA.

Nie rozumiem.

PAN SZUMSKI.

Zawsze nie rozumiem, powiedz raczej nie chcę zrozumieć. Znasz przecież dobrze nasze interesa, z każdym dniem się pogorszają.

PANI SZUMSKA.

Więc chciałbyś?...

PAN SZUMSKI.

Proszę mi nie przerywać — — interesa pogorszają się z każdym dniem, ztąd i posagu dla Zofij nie ma, a w przyszłości może nie będzie miała domu. — —

PANI SZUMSKA

(przerażona).

Nasza jedynaczka?!

PAN SZUMSKI.

Czyniłem, co mogłem, ale się rwie, darmo, nie ma, to i nie będzie — z piasku bicza nie ukręcę, a jeżeli bogacz się zjawił, wziąść go musi, bo nas uratuje.

PANI SZUMSKA.

O Boże, żeby był dla niej aby znośnym!

PAN SZUMSKI.

Znośny czy nieznośny, ale szlachcic i bogaty — — to chwilowo wystarczy do szczęścia, pieniędzmi wszystko zrobisz, a reszta się znajdzie.

PANI SZUMSKA.

Stanisławie, dla własnego dziecka nie zmienisz przekonania?

PAN SZUMSKI.

Bo wiem, że ono zrodziło się z doświadczenia, z prawdy, a kobiety bałamucą się poezją miłości; a zresztą, czemu by nie miała pokochać, wszak musi być co dobrego, jeżeli własny brat twój go poleca jako zacnego człowieka.

PANI SZUMSKA.

Prawda, Józef pisze: „Wkrótce przybędzie do waszej Zosi młody człowiek, przystojny, bogaty, ale przedewszystkiem szlachetny i zacny, szanujcie go“. Ale, czy to aby ten sam?

PAN SZUMSKI.

Zapewne, zapewne ten sam, bo nawet czas jego przybycia ściśle oznaczony — — (przegląda list) tyle tylko, że nazwiska nie ma. Ale długo naszego gościa nie widać.

SCENA 10.

CIŻ, JERZY, ZOFJA, HALINA później WACŁAW.

PANI SZUMSKA.

Upał zbyt wielki — spłoszył was z altany.

ZOFJA.

Ogromnie dziś parno.

(Zofja rozmawia z Szumskiemi po lewej, Halina po prawej stronie z Jerzym).

JERZY

(do Haliny).

Pani dziś taka niespokojna, czy i pani może upał za bardzo dokucza?

HALINA

(na stronie).

Nie mamże nią być? Raz mi zimno, raz ciepło, oj, oj Wacławie! (głośno) Głowa mię boli.

JERZY.

Może myśli ciężą główce, chciałbym wiedzieć jakie?

HALINA.

Przestraszyłbyś się pan ich niemało.

JERZY.

Czyż wiecznie będę panem.

HALINA.

Do czasu. —

(Wacław wchodzi z prawej).

(na str.) Drzę o niego.

WACŁAW

(kłaniając się).

Jaśnie wielmożny pan Adolf zapytuje się, czy może złożyć uszanowanie jaśnie wielmożnemu państwu?

PAN SZUMSKI.

Powiedz mój chłopcze, że prosimy.

(Wacław odchodzi w prawo, pani Szumska siada na kanapie, koło niej z lewej strony Zofja, zajęte robotą. Szumski chodzi niespokojnie, Halina siada również na prawo przy małym stoliku, pochyla się nad robotą, Jerzy staje za jej krzesłem).

JERZY.

Jeżeli pan stosunkowo piękniejszy od lokaja, to może być wcale miłym gościem.

HALINA.

Zapewne.

PANI SZUMSKA.

Spodziewać się trzeba.

ZOFJA.

Tylko, że długo się stroi.

PAN SZUMSKI.

Uwaga nie potrzebna.

JERZY
(do Zofji).

Pani ciekawa?

ZOFJA.

Jak każdej nowości.

HALINA.

Ja bo się go boję.

JERZY.

Kogo?

HALINA.

A pana Adolfa — — niedobre mam przeczucie, ztąd ten ból głowy.

JERZY.

Wszak jestem przy pani — — obawa nie konieczna.

HALINA.

Od przeznaczeń nikt nie uchroni.

JERZY.

Znów mię pani dręczy!

HALINA.

Nie dręczę — — — powtórzę tylko stare przysłowie: mąż i żona od Boga przeznaczona.

JERZY.

O, bardzo pani niedobra.

SCENA 11.

CIŻ, WACŁAW, JAN.

(Jan we fraku, rękawiczkach, z kapeluszem w ręku, wychodzi z prawej, Wacław za nim).

JAN

(kłaniając się).

Kłaniam państwu.

(Całe towarzystwo patrzy na niego ciekawie i kłania się).

HALINA
(na stronie).

Nie wytrzymam długo.

PAN SZUMSKI
(do Jana).

Witam gościa w domu, (podaje mu rękę z ukłonem) gość w domu najmilszym mi jest przyjacielem. (bierze go pod rękę i prowadzi do żony) Żono pozwól, że ci przedstawię pana Adolfa, (prowadzi do Haliny, później do Zofji) również pani, panno Halino, tobie Zosiu, (idąc do Jerzego) pan Jerzy, pan Adolf, (wskazując miejsce po lewej od kanapy) proszę pana, (odbiera mu kapelusz, Jan siada, Wacław odbiera Szumskiemu kapelusz i staje za fotelem Jana, Szumski siada koło Zofji).

PANI SZUMSKA.

Zapewne pan podróżą znużony?

JAN
(kręci się na fotelu).

Tak — ten — — — niby. — —

JERZY.

Mężczyzna w wieku pańskim nie powinien się męczyć.

PAN SZUMSKI.

Ale noce w podróży są przykre, bo niewygodne, a teraz jeszcze upały, a do tego niewywczas, to rzeczywiście można być zmęczonym.

PANI SZUMSKA.

Pan często w Warszawie?

JAN.

Tak — — tak — — raz w tydzień, z masłem.

PAN SZUMSKI
(na stronie).

Z masłem?

JERZY
(do Haliny).

To jakiś praktyczny człowiek.

ZOFJA.

Ależ na teatrze pewnie pan bywa, i jakież teraz nowe siły dramatyczne występują na scenie?

JAN.

Hę? — — (oglądając się na Wacława) Nie rozumiem.

WACŁAW
(do ucha Janowi).

Czy znasz jakie komedjantki? — O stracony błaźnie!

JAN
(nie dosłyszawszy).

Stracbłaznę — — to duża komedjantka.

JERZY.

Co pan mówi?

PAN SZUMSKI.

Pewnie jaka cudzoziemka?

HALINA
(śmiejąc się na stronie).

Wybuchnę śmiechem — wolę uciec (zakrywa chustką usta i wstaje z miejsca).

PANI SZUMSKA.

Czyś cierpiąca Halino?

JERZY.

Pani chora?

HALINA.

Głowa mnie niezmiernie boli, wyjdę do ogrodu.

JERZY.

Wolno pani towarzyszyć?

HALINA.

Owszem. (wychodzą głębią).

SCENA 12.

CIŻ prócz JERZEGO i HALINY.

WACŁAW
(na stronie).

Dobrze, że ten Jerzy poszedł, wszystko psuje. (cicho do Jana) Gadaj śmiało — byłeś przecież na balecie.

JAN.

Chodzę i na balet — — — (na str.) lepiej mi teraz gadać niż przy pannie Halinie, a ten młody jeszcze mi przycina.

ZOFJA.

Balet słynie z dobroci.

JAN.

Aj, aj, panno Zofi...jo, jak ten — — — tego — — zacznie nogami wyrzucać i kwiaty zbierać z ziemi, to tak, kiejby bocian po błocie, i kiejby prędko żaby zjadał! — — — To jeszcze nic, nic — ale jak skoczy, to suknie taki szum zrobią, kiejby ze sto wróbli przeleciało nad głową! Aj, aj, to jednak Marysia z naszej... no — ten — tego z mojej wsi tak nie potrafi.

WACŁAW

(do Jana).

Cicho o Marysi!

ZOFJA

(do pani Szumskiej).

Jezus, Marja, cóż to za dziwaczny człowiek!

PANI SZUMSKA

(do Zofji).

Uspokój się, on tylko nieśmiały, to się jąka i niedorzeczności mówi.

PAN SZUMSKI.

Pan lubi wspominać swoje wieśniaczki, wnioskuję

ztąd, że i kochasz swój lud, znasz wady i cnoty jego.

JAN.

Znam, znam ich dobrze: i kucharza i kowala, gospodynię tłustą, co na szperkach się utuczyła, Bartka kulawego, co spadł z gruszy, bo bestyja poszedł kraść, a ja go łap za nogę — a on cap na ziemię i złamał sobie kości! Co to doktór nalatał, i wiązał, i poprawiał, i drugi raz łamał. — Aj, głupi Bartek, dałbym ja sobie gnaty łamać, a jeszcze za to doktorowi płać, że cię poturbuje! Znam i praczkę, biała jak ta mączka, co kołnierze nią krochmali (poprawia sobie kołnierzyk). Mówią, że ona dla tego tak biała, bo tę mączkę zjada. A ten — tego — — jest i głupi Kuba, tak go nazywają, tego mi żal trochę. — Opuściła go jego Kasia i zwarjował! Ja bym inaczej zrobił, kiej nie jedna, to druga, bo cóż ma z tego? Rozumu się pozbył i biedoli się całe życie.

ZOFJA
(na stronie).

Nie bardzo będzie wierny.

JAN.

Mamy też i pijaków gromadę — kiejto jak zwierzę jak się upije; pieniądz zmarnuje, babę obije, dzieciaki potrąci. Ja bym ich wszystkich powywieszał! — No ten — tego — i ja łońskiego jeszcze roku...

WACŁAW

(do Jana).

Nie mów aby, żeś i ty był pijakiem!

JAN.

No... no — nic... znam ich wszystkich dobrze.

PAN SZUMSKI.

Znając swój lud dokładnie, możesz pan myślec o uldze dla niego.

ZOFJA.

Zapewne pan też założył ochronkę? To wielka pomoc dla matek, które pracować muszą, a nie mają przy kim dziatwy zostawić.

JAN.

Ochronkę? — Chi! Dzieciaków nie lubię, bo ten — tego — z nosa im zawsze leci, (ocierając nos rękawem) toby im ciągle trzeba tak robić.

WACŁAW

(cicho do Jana).

Błaźnie, nie zapominaj się! (Wyjmuje z kieszeni chustkę do nosa, podaje Janowi i mówi głośno) Jaśnie Wielmożny Pan zapomniał, otóż jest chustka. (Jan odbiera chustkę i trzyma ją w ręku).

PAN SZUMSKI

(na stronie).

Rubaszny... cóż robić?!

PANI SZUMSKA.

Mężczyzni zwykle dzieci nie lubią, ztąd też pański wstręt do ochronek. Rękodzielnie zatrudniają przecież starszych, zapewne pan pomyślał o nich, bo niepodobno, żeby wszyscy szczęśliwymi byli przy pracy rólnéj.

JAN.

O czém pani gada?

PAN SZUMSKI
(na stronie).

Impertynent!

PANI SZUMSKA.

Mówię o rękodzielni.

JAN.

Tak... ten — tego... stare baby siedzą nad kądzielą.

ZOFJA
(śmiejąc się).

Ha, ha, ha, ha!

PAN SZUMSKI
(z oburzeniem).

Zofjo!

JAN.

Niechno panna się nie śmieje, prawdę mówię, dyć stare baby tylko przędą.

WACŁAW
(na stronie).

Aż mi gorąco, tak plecie — ale Zofja śliczna! (do Jana) Powiedz, że wyjdziesz do ogrodu i ukłoń się.

JAN.

Trochę mi tu gorąco... pójdę do ogrodu. (Kłaniając się) Kłaniam państwu. (Wychodzi głębią, Wacław za nim).

SCENA 12.

PAN SZUMSKI, PANI SZUMSKA i ZOFJA.

ZOFJA.

Strasznie nieokrzesany człowiek!

PAN SZUMSKI.

Za mało go znasz, by jakieś zdanie o nim wypowiedzieć, schowaj je na później — nie lubię byś się z niem wydzierała.

PANI SZUMSKA.

Ależ mężu, wszak objawić je musi — a do kogóż, jeżeli nie do rodziców?

PAN SZUMSKI
(chodząc niespokojnie).

Bajki, bajki moja pani. — — — Ale, ale widziałyście jego konie, jego karetę? Cud urody! Kareta wewnątrz jedwabnym adamaszkiem wybita, a konie...

konie, co za nogi, łby, karki! Każdy z nich może śmiało zasłużyć na medal wystawy warszawskiej!

PANI SZUMSKA

(na stronie).

Przynajmniej czem pociesza swe nieskalane szlachectwo — (głośno) Ale osobistość pewnie ci się nie podoba?

PAN SZUMSKI.

Kto jejmości to powiedział? Hm? (do Zofji) Proszę cię, Zofjo, towarzysz Halinie. (Zofja odchodzi).

SCENA 13.

PAN SZUMSKI i PANI SZUMSKA.

PAN SZUMSKI.

Że też nie mogę ciebie rozwagi nauczyć! Alboż wypada coś podobnego przy córce prawić? Jeżeli chcesz robić uwagi, rób je sobie w cztery oczy, ale uchowaj Boże przy niej.

PANI SZUMSKA.

Mężu, przecież to dziecko moje!

PAN SZUMSKI.

Dziecko twoje, prawda, ale tu chodzi o jego szczęście, więc mu je nie psuj.

PANI SZUMSKA
(chodzi także niespokójnie).

Takie szczęście!

PAN SZUMSKI.

Powiadam, że szczęście, bo dostanie męża, z którym będzie miała chleb całe życie.

PANI SZUMSKA.

Chleb łzami zaprawiony. — — —

PAN SZUMSKI.

Pleciesz — pleciesz moja Maniu, krzywda się jéj jeszcze nie dzieje; pocóż zaraz o łzach wspominać?

PANI SZUMSKA.

Mamżeż patrzeć jak posąg i nic nie radzić?

PAN SZUMSKI.

Uchowaj Boże, od starosty do kapucyna daleko. —

PANI SZUMSKA.

A cóż mam czynić?

PAN SZUMSKI.

Chwalić o ile można, dobre strony Adolfa podnosić.

PANI SZUMSKA.

Tak — kłamać sobie, kłamać dziecku!

PAN SZUMSKI.

Pomiędzy kłamstwem, a gryzącą prawdą, jest jeszcze przejście — rozumiesz?

PANI SZUMSKA

(smutnie).

Rozumiem.

PAN SZUMSKI.

Powiedz Zofji, żeby była grzeczną dla Adolfa, bo tak przyzwoitość każe — — reszta się znajdzie.

PANI SZUMSKA

(kiwając głową).

Reszta się znajdzie — — — —. O mężczyzni, brak wam serca, i brak ten nie pozwala zajrzeć w wnętrze serc drogich wam osób, by ich ochronić od złego!

PAN SZUMSKI

(odchodząc macha ręką).

Jejmość swoje i ja swoje.

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU I.

AKT II.

Ogród — ławka i stolik po lewej, mała ławeczka otoczona kwiatami po prawej.

SCENA 1.

JAN sam.

(Leży na ławce elegancko ubrany, cygaro w ustach, ziewa i śmieje się na przemianę).

JAN.

Chi! chi! chi! Przynajmniej dobrze mi się dzieje, bodajto być panem! Człek się wyśpi, (klepiąc się po brzuchu) dobrze się naje, dobrych cygar dostanie — wszystkoć nieźle, byle tylko mnie tak nie pilnowali, a wielmożny od osłów, trutniów, błaznów, trębaczy głupich nie wyzywał. — — (Wstaje) Dyć ten mój pan, to strasznie warjacki! Chciałoby mi się być lokajem, kiejm pan całą gębą — chi, chi, chi. — Aleć mnie też jeno pilnują, wszędzie stary za mną, jak cielak za krową; człek odetchnąć nie może — stara trochę się kwasi, a jak patrzę na pannę Halinę, to ledwie się śmiechem nie zduszę, boć i ona ciągle się chicha. — Człek kiejby komedyjant! — Panna Zocha — toć szykowna, aleć Basia kiej róża, (ogląda się) jeno jej nie widać. Aj,

aj Basię mieć! Smaczną musi mieć buzię, taka sobie jędrna, żwawa, a panna Halina, panna Zofi — ja niby pająki — — fi — fi — (spluwa).

SCENA 2.

JAN i BASIA.

BASIA
(niosąc książki).

Jaśnie wielmożny pan przysęła książki do czytania. (Jan odbiera książki i rzuca o ziemię, Basia przestraszona) Jezus! to panienki ulubione książki — co bo też jaśnie wielmożny pan robi?!

JAN.

Co mi tam panienka twoja, co mi tam książki, weź je do djabła!

BASIA
(przestraszona).

Uf!

JAN.

Chodziłem bez siedm roków do szkoły i nic mnie ten osieł nie nauczył, jeno *i*, to maluśkie i, to znam, to pamiętam! Chcesz, to ci je pokażę?

BASIA
(podnosząc książki na stronie).

To mało umie ten wielmożny — wiem trochę więcej, czytam od biedy, pisać bo nie potrafię — ręka sztywna.

JAN.

Nie podnoś tych rupieci, chodź lepiej tu — nikt nie widzi — pocałuję cię. (Zbliża się do Basi).

BASIA.

Jaśnie wielmożny niech sobie panienki po rączkach całuje, to nie dla mnie buzia taka pańska. (Kładzie książki na stół).

JAN.

Fi — pańska.

BASIA.

Alboż inna?

JAN.

Basiu, Basiuleczku, ja nie — — ja nie żaden — — (na str.) byłbym się wygadał, aj, aj, a sto batów mi obiecał, gdybym co pisnął, a jak się dobrze sprawię, dostanę sto złotych! Pono gębę lepiej cicho trzymać — (przypatruje się Basi) aleć ona taka ładna — (głośno) Basiu! Czy ty masz już kawalera?

BASIA
(zrywając listek).

Ani wiem, co kawaler, taka młoda jak ten listek.

JAN.

A wzięłabyś mnie za chłopa?

BASIA.

Dyć jaśnie wielmożny pan ma być mężem naszej panienki.

JAN.

Fi!

BASIA

(obrażona).

To i lepiej, alboż ona nie piękna, nie ładnie ubrana? A ja — prosta dziewucha.

JAN.

Tyś śliczniejsza Basiuleczku, piękniejsza niż te dwie panny razem, choć na takich specyjałach nie wychowana.

BASIA.

Aleć ja chłopka, a nie jaśnie wielmożna.

JAN.

A gdybym był — no — gdybym był lokajem Janem? —

BASIA

(na stronie).

Kiedyć lokaj piękniejszy, wolę jego. (głośno) Tak przecież nigdy nie będzie, poco próżno gadać i mię bałamucić, a we dworze na mnie czekają. (chce odchodzić).

JAN

(zatrzymując ją).

Poczekaj jeszcze chwilkę — przeklęte moje państwo, wcale mi się nie widzi!

BASIA.

Co jasny pan mówi?

JAN

(spostrzegłszy się).

Ten — tego — nic, masz czekać, więc — Basiu, gdybym był lokajem, byłabyś moją babą?

BASIA

(z gniewem).

Ej co mi tam jaśnie wielmożny gada.

JAN.

Basiu, Basiuleczku, daj się ubłagać, ja nie jestem... ja nie jestem — no — no — ten, ja nie jestem — A.... do.. l......, (Wacław nadbiega i ręką zakrywa usta, Basia ucieka).

SCENA 3.

JAN i WACŁAW.

JAN

(przestraszony).

Jezus Marja!

WACŁAW.

Bizun! Byłby się wypapłał do tej dziewczyny, w samą porę przyszedłem. (grożąc Janowi) Słuchaj, jak jeszcze raz za wiele powiesz, to nie sto, ale dwieście batów! Już krótko tylko będziesz panem, ale wytrwaj, a w nagrodę obiecuję ci aż dwieście złotych!

JAN.

Aj, aj, aż dwieście złotych! Będę posłusznym.

WACŁAW.

Słuchaj teraz: — Napisałem listy od ciebie. —

JAN
(przerywając).

Kiej ja ani pisać, ani czytać nie umiem

WACŁAW.

Nic nie szkodzi, powiesz, że bardzo ładnie piszesz, to zupełnie wystarczy.

JAN
(na stronie).

Ej, żeby wiedział, żem sie do Basi... wypapłał z tem czytaniem.

WACŁAW.

Jeden list do pani Szumskiej, drugi do pana Szumskiego, a trzeci do panny Zofji. Każdej z tych osób oświadczasz się, tj. prosisz o to, żeby panna Zofja była twoją żoną.

JAN
(przestraszony).

Moją żoną?!

WACŁAW.

Tylko na żarty.

JAN

(z niedowierzaniem).

Alećmię, aby jaśnie wielmożny z nią na prawdę nie ożeni?

WACŁAW.

Byłbym pewnie warjatem, ona będzie twoją panią, a nie żoną.

JAN

(oddychając).

Tak, tak, to lepiéj.

WACŁAW

(dając mu listy).

Oto masz listy, oddasz je Basi, żeby każdemu z tych państwa osobno wręczyła, a późniéj, jak którą z tych osób spotkasz, upadniesz każdéj z nich do nóg, t. j. uklękniesz i powiesz „proszę o rękę panny Zofji“ — rozumiesz?

JAN

(zdziwiony).

Dyćto jeno przed Panem Bogiem się klęka?!

WACŁAW.

Nie pytaj o przyczynę, czyń co ci każę, a im lepiéj się sprawisz, tém większa nagroda.

JAN

(skrobiąc się w głowę).

Wołałbym być lokajem. (Odchodzi w lewo).

4

SCENA 4.

WACŁAW sam.

WACŁAW

(chodzi zamyślony).

Alboż przyjmą oświadczenie Adolfa? (po chwili) Szumski pewnie, ciągle nadskakuje Adolfowi, całem przyjęciem okazuje, że bardzo mu rad. — A pani Szumska? — Posmutniała, znać wielkie niezadowolenie w całej postawie, czasem łza zakręci się w jéj oku i powie: Tam w górze wyższa opieka i pomoc dla méj córki, jéj ufajmy! — Tylko Zofja, niebiańska moja Zofja za bardzo przygnębiona — dawno nie widziałem uśmiechu na jéj ustach. — O, ona nie zapragnie nigdy tego zimnego złota, co samo nie zrodzi ciepła rodzimego, tego ciepła, do którego wzdychamy, by się przytulić; Zofja moja nie zechce nigdy tego kruszca, co sam jeden nie nakarmi potrzeb serca i nie zaspokoi pragnień duszy! O więcéj, więcéj nam trzeba, człowiek nie samym tylko chlebem żyje! — — (po chwili) Znam już teraz Zofję dostatecznie, postępowanie jéj zdradza wnętrze jéj duszy — — — ale pocóż ją jeszcze narażam na ostatnią próbę? — — Dla tego, by tém głębiej zagrzebać zwątpienie moje o kobietach, by już nigdy, nawet najsłabszym dźwiękiem się nie odezwało. — Postępowanie moje przecież — — pełne egoizmu — — może Zofji ubliża? Nie! Zofja na téj intrydze nic nie traci, owszem ona ją unosi wyżéj, w krainę

— — gdzie króluje ideał szlachetności! (po chwili z żywością) Wyobrażam sobie Zofję, widzę ją, jak z całą pogardą odrzuca rubasznego bogacza i lekkiem westchnieniem zdradza wyższe pojęcie szczęścia. Szczęście?! Alboż łódź moja już dopływa brzegu téj uroczéj oazy, którą szczęściem zowią? O, chciałbym utworzyć szczęście, szczęście jakiego nie zaznał jeszcze nikt z ludzi, bo ono dla niéj! A nie przypadłoby mi ono jak dziecku, co przypadkiem znajdzie drogocenny kamień, pobawi się nim chwilkę, i nie ceniąc jego wartości, rzuca w błoto lub śmieci, ale jak człowiekowi, który napracowawszy się długą walką duszy, czeka nagrody, by przy niéj odetchnąć swobodnie.

SCENA 5.

WACŁAW i HALINA.

(Halina z książką, z prawéj strony).

WACŁAW.

Sprawa nasza wiedzie się, Halino?

HALINA.

Cała ta historja mię nie zadawalnia od samego początku, i coraz więcéj mię draźni.

WACŁAW.

Kochana siostro, cierpliwości, chodzi o szczęście twego brata.

HALINA.

Zdaje mi się, że już dosyć doświadczyłeś Zofji, wszak widzisz, że aż pomizerniała, że tego twego Adolfa jednak znieść nie może, chociaż pieniędzmi brząka.

WACŁAW.

Prawda, dokuczam jej trochę, ale za to z każdą chwilą cenię i kocham ją więcej.

HALINA.

Sobie poprawiasz interesa, moje psujesz.

WACŁAW.

Jakto?

HALINA.

Wiesz dobrze, że Jerzemu cała ta intryga obca, a prosiłeś mię, żeby zachwalać Zofji pana Adolfa, żeby z zajęciem na niego spoglądać — — słowem, Jerzy już dziś zazdrosny!

WACŁAW.

Podoba mi się twój Jerzy, ale zazdrosnym być nie powinien; zazdrość wykrywa brak zaufania, a nim tobie ubliża. Pozwolisz — — ukarzę go.

HALINA.

Dajżeż pokój, bo i tak już nadąsany!

WACŁAW.

Pozwól siostro, nauczę go tylko więcéj cię kochać, więcéj ci ufać.

HALINA.

I co myślisz zrobić?

WACŁAW.

Dowiesz się późniéj, tylko proszę cię, przyjmuj wszelkie grzeczności improwizowanego Adolfa i bądź dla niego z każdą godziną tkliwszą.

HALINA.

Aby za bardzo nie dokuczaj!

WACŁAW.

Ani włos z głowy mu nie spadnie, nie zapomnę że jest ci narzeczonym. — Ale, ale uprzedzam cię Halino, że listownie oświadczyłem Adolfa.

HALINA.

Już tak daleko?

WACŁAW.

Żal mi Zofji niezmiernie, chciałbym tę komedję niedługo skończyć — — a teraz rozejdźmy się, by pilnie badać, jakie skutki listy moje odniosły. (odchodzi w lewo).

SCENA 6.

HALINA sama.

HALINA.

Dziś już chyba wszystko się przesili! Cała nagroda za te moje nieprzyjemności, że Wacław szczerze Zofją zajęty, a Zofja już kilka razy zwracała mi uwagę na urodę lokaja, na ruchy i szyk jego. Może byłoby lepiej wszystko jéj powiedzieć? — — Lecz nie, nie mogę, słowa dotrzymam. — (po chwili) Biedny mój Jerzy, taki zgnębiony tą moją udaną kokieterją dla Adolfa — — — gdybyś wiedział, jaką masz wierną narzeczoną! — Lecz pomyślę o nagrodzie za te wszystkie umartwienia. — (spostrzegając Zofję z prawéj) Zosia idzie, jakaś smutna, żal mi jéj.

SCENA 7.

HALINA, ZOFJA później WACŁAW.

ZOFJA
(zapłakana z listem w ręku).

Nareszcie cię znalazłam Halino, miéj litość nademną pociesz mię — — — (siada znużona na ławeczce). Czytaj! (podając list Halinie). W téj chwili dała mi go Basia. —

HALINA
(czyta).

„Pani, Zofjo! Kocham cię od pierwszej chwili, gdym cię zobaczył — — ścielę się do nóg twoich, błagając

cię o rękę — — nie odrzucaj mię pani!“ (na str.) Nic nie skłamał, (głośno) i cóż ty na to? (Wacław staje za krzakiem niewidziany przez Zofję i dalszej scenie obecny).

ZOFJA.

Jak możesz się jeszcze pytać? Halino, czy nie znasz moich pragnień, moich wyobrażeń, moich nawyknień? Powiedz, co uczyniłabyś sama? —

HALINA.

Przyjęłabym go.

ZOFJA.

Nie pojmuję ciebie, zmieniłaś się od czasu przybycia nieszczęsnego konkurenta!

HALINA.

Zmieniłam się? O nie, ale umiem cenić majątek. A cóż rodzice twoi?

ZOFJA.

Rodzice? Wiem co mię czeka, walka krwawa z ojcem, u niego pieniądz teraz wszystkiem — — — ale nie ulegnę, nie — nigdy! —

HALINA.

Zdaje się, że ten pan Adolf, chociaż na pozór rubaszny, ale dobrze pisze; z listu tego tchnie serce — — może to nie taki zły człowiek? — —

ZOFJA.

To właśnie dla mnie ogromną zagadką. Basia wspominała, że chwalił się do niej, że czytać nie umie, a teraz przesyła list tak piękną ręką skreślony! Sam taki niezdarny, zaś lokaj ma szyk pański! Wiesz, że mi się aż w głowie kręci, może to jaka intryga?

HALINA.

Któż śmiałby sobie zażartować?

WACŁAW

(zbliża się wolno do Zofji).

Mój jaśnie wielmożny prosi o odpis jaśnie wielmożnej pani.

ZOFJA

(obrażona).

Nie odpisuję na listy panom.

WACŁAW.

Ale wielmożny bardzo prosi.

ZOFJA.

Powiedz panu, mój przyjacielu, że jest natrętnym.

HALINA.

Zofjo!

ZOFJA

(wstając).

Cierpliwości mi braknie.

WACŁAW.

Niech jaśnie wielmożna pani się nie gniewa, mój pan bardzo dobry.

ZOFJA.

Tobie łagodność z oczu patrzy, ztąd myślisz, że i twój pan dobry.

WACŁAW.

Nie dziwię się panu, że chce mieć tak piękną panią! (całując w rękę Zofją). Proszę za mego pana.

ZOFJA
(na stronie).

Nie pojmuję, czemu mu ręka tak drzała? —

HALINA
(na stronie).

Zdradzi się.

WACŁAW.

Dobrze będzie pani u nas, tak uważnie będę posługiwał.

ZOFJA.

Z usługą twoją byłoby mi zapewne dobrze, ale nie z twoim panem.

HALINA.

Podobno żenisz się Janie z Basią?

ZOFJA.

I ja coś słyszałam.

WACŁAW.

Tak — chciałem państwa prosić o nią, kocham Basię.

ZOFJA.

Szczęść wam Boże. — — Podobasz mi się mój Janie, będzie z tobą szczęśliwa! — Wiesz Halino, poprosimy rodziców, by im huczne sprawili zaręczyny, przynajmniej Basi szczęście niech będzie osłodą mojej goryczy.

WACŁAW
(całując rękę Zofji).

Całuję rączki za te łaski dla Basi i dla mnie, ale cóż powiem panu?

ZOFJA.

Powiesz krótko, że nigdy go nie zechcę!

WACŁAW.

Powiedzieć mu trzeba, choć się zasmuci dobre panisko. (odchodzi w lewo).

SCENA 8.

ZOFJA, HALINA później JERZY.

ZOFJA.

Moglibyśmy dziś zrobić dalszą przechadzkę, chcia-

łabym uniknąć rozmowy z ojcem — — — — a wiem, że list podobny także odebrał.

HALINA.

Ale może byłoby lepiej tę sprawę od razu załatwić? A tak się przeciągnie.

ZOFJA.

Chciałabym na zawsze tego uniknąć, bo i tak zmęczona jestem wewnętrzną walką — — — — nigdy nie umiałabym się rozstać z mojem marzeniem, — — żoną rubasznego bogacza! — Ja? Boże! nigdy!

JERZY
(wchodząc z prawe)j.

Pora zwykłej naszej przechadzki nadeszła, chętniebym towarzyszył paniom, może przynieść kapelusze, parasolki?

HALINA.

Wszystko dziś wzdycha do przechadzki, powietrze musi być bardzo duszne — — tu, koło domu.

JERZY.

Nawet bardzo — — ale czy moje towarzystwo będzie paniom miłe?

HALINA.

Alboż nam straż konieczna? Pan zdaje się nam nie ufać.....

JERZY.

Ja? Nie ufam? Nie dałem pewnie jeszcze dowodów tego.

HALINA.

Tylko widoczne dowody.

JERZY.

Jakie? O niczem nie wiem.

HALINA.

Alboż się pan nie dąsa na mnie, że czasem miłem okiem spojrzę na pana Adolfa?

JERZY.

Proszę, nie mówmy lepiej o tem, kwestja drażliwa — — — wolałbym uciec, aniżeli widzieć panią patrzącą na ten kamień, choć kosztowny, ale jeszcze nieociosany.

ZOFJA.

Zupełnie się z panem zgadzam, nie pojmuję, jak można chwalić Adolfa; nic zgoła za nim nie przemawia, prócz talarów! Obrzydłe te pieniądze, co one mnie łez kosztują!

HALINA.

Pod surową skorupą kryje się nieraz najdelikatniejsze serce, niczem jeszcze niezużyte.

JERZY.

Moja pani, błagam litości — ciągle ta przekora.

ZOFJA.

Spory zabierają czas przechadzki, chodźmyż jak najprędzej.

JERZY

(spostrzegając zdala pp. Szumskich).

Ale państwo Szumscy zbliżają się do nas, może zechcą nam towarzyszyć, pewnie poczekamy?

HALINA.

Wypada.

ZOFJA

(na stronie).

O nieszczęsna godzino!

SCENA 9.

CIŻ, PAN i PANI SZUMSKA.

(wchodzą z lewej).

PANI SZUMSKA.

O czém rada? Czemu nie siadacie? Widzę, że nawet książki was nie zajmują, trzeba państwa młodych pewnie rozweselić. — — Otóż powiem nowinę: Basia idzie zamąż, za lokaja naszego gościa.

PAN SZUMSKI.

Basia zdaje się być bardzo szczęśliwą.

HALINA.

Wiemy, wiemy o wszystkiem.

ZOFJA.

I chciałyśmy właśnie prosić, żeby im kochani rodzice sute sprawili zrękowiny.

PANI SZUMSKA.

Owszem, jeżeli tylko Stanisław zechce.

PAN SZUMSKI.

Bardzo chętnie, lubię Basię i cenię jej radość.

JERZY.

Jutro więc będzie bal champêtre, a teraz może państwo będą łaskawi nam towarzyszyć do lasu, projekta są dobre, tylko trzeba wykonania.

PAN SZUMSKI.

Powietrze bardzo miłe, z całą też chęcią poszedłbym z państwem, ale ważne mam słówko do pomówienia z Zofją.

ZOFJA

(do pani Szumskiej).

Mamo zostań, przeczuwam — broń mię.

HALINA i JERZY.

Do widzenia. (wychodzą).

PANI SZUMSKA.

Do widzenia.

SCENA 10.

PAN SZUMSKI, PANI SZUMSKA, ZOFJA.

PAN SZUMSKI.

A ty zostajesz, Maniu?

PANI SZUMSKA.

Nachodziłam się dziś przy porządkach domowych, nie chce mi się. (siada z pończoszką po lewej).

PAN SZUMSKI.

Niech i tak będzie, proszę tylko milczeć. (siada po prawej, Zofja zbliża się do matki). Zofjo! Stanowcza zbliżyła się dla ciebie chwila, stanowcza w życiu każdej kobiety — oświadczył mi się pan Adolf o ciebie — — — i jaką mu damy odpowiedź?

ZOFJA
(porywczo).

Że nigdy żoną jego nie będę!

PAN SZUMSKI.

Wolno, wolno moja panienko, tu chodzi o całe życie — — wiedziałem, że mi tak odpowiesz, bo nie rozważyłaś dostatecznie

ZOFJA.

Ojcze, całemi godzinami o tem myślę, — i darmo — nie mogę się zastósować do życzeń naszego gościa.

PAN SZUMSKI.

Zawsze, zawsze za porywczo, pamiętaj o własnem szczęściu.

ZOFJA.

Właśnie o niem tylko myślę, kochany Ojcze.

PAN SZUMSKI.

Myślisz o szczęściu z samej miłości.

ZOFJA.

Alboż inne być może?

PAN SZUMSKI.

Chwytasz się tylko krańca, stąpasz po wązkich ścieżkach na wzgórzu, a środkiem wiedzie droga szeroka i wygodna, którą opuszczasz umyślnie, albo jej nie widzisz. Miłość sama chleba nie daje, trzeba i trochę pieniędzy.

ZOFJA.

Ależ ja go ani trochę nie kocham!

PAN SZUMSKI.

To się znajdzie.

ZOFJA.

Żywię nieprzezwyciężony wstręt do niego!

PANI SZUMSKA
(zniecierpliwiona).

Ale Stanisławie, — nienawidzi go!

PAN SZUMSKI.

Prosiłem Maniu, byś milczała. — Zofjo, raz jeszcze przemawiam do rozumu twego, i całą nagą odkryję ci prawdę: Interesa nasze się pogorszyły, nie będziesz miała posagu — a jeżeli ci się co okroi, to nie wiele. Nawykłaś do wygód, których trudno ci się będzie oduczyć — — a rodzice nie wieczni. — Skąd weźmiesz na książki, balowe suknie, kwiaty, rękawiczki? Nawet zbraknie ci może na powszednie ubranie, a pamiętaj, żeś z krwi i kości szlachcianką! U drugich łaski żebrać ci nie wolno!

PANI SZUMSKA
(wstając).

Mężu! mężu!

ZOFJA.

Ojcze, niczego się nie lękam, wszystkiego się wyrzeknę, zapracuję sama, jeżeli potrzeba, na chleb nasz codzienny, byleś na zawsze oddalił odemnie to obrzydłe złoto Adolfa! (pochyla się ojcu do nóg).

PANI SZUMSKA
(zbliżając się do Szumskiego).

Błagam cię za córkę.

PAN SZUMSKI
(porywa się z miejsca).

Ha, róbcie sobie, co chcecie, (wychodząc szybko) ale pożałujecie!

SCENA 11.

PANI SZUMSKA i ZOFJA.

ZOFJA
(podnosi się i całuje matkę w rękę).

Najmilsza moja matko, tyś mię obroniła, tyś sercem patrzała na przyszłość córki — —

PANI SZUMSKA.

Dzięki Bogu, że tak łatwo nam poszło, myślałam, że Stanisław będzie twardszym; widocznie Bóg nad tobą czuwa, moja Zosiu, podziękuj mu. Bardzo nam ułatwiła przy całéj téj sprawie niezdarność pana konkurenta. Ojciec sam nie mógł się nieraz uspokoić nad jego rubasznością, dziwactwem i głupotą, ale żal mu było wypuścić tyle złota z ręki — — — sądził też, że może da się trochę okrzesać. A teraz rozwesel mi się, moja ty jedynaczko, (całuje ją) daléjże Zosiu uśmiechnij mi się.

ZOFJA
(całując panią Szumską w rękę).

Zawsze już teraz będę wesołą.

PANI SZUMSKA.

Stoczyłaś walkę nielada, ale że wychodzisz z niej zwycięsko, nie dam ci wypoczynku; zajmiemy się zaręczynami Basi. Baby, mazurki czekają naszych rąk.

ZOFJA

Z największą chęcią zabiorę się do pracy, a list pana Adolfa najpierw włożę pod placek.

PANI SZUMSKA.

Nie wiedziałam, żeś mściwa.

ZOFJA.

Wszak nic złego nie robię? Tylko słodkim mazurkiem nakarmię papier i w piecu ugrzeję — bo ciepła serca dać mu nie mogę.

PANI SZUMSKA
(spostrzegając Jana).

O wilku mowa, a on tu — bądź aby dla niego grzeczną. (siada na ławce po prawej i robi pończochę).

ZOFJA.

Będzie to ambaras! (siada koło matki i pochyla się nad książką).

SCENA 12.

PANI SZUMSKA, ZOFJA, JAN.

JAN

(wchodząc z prawej, idzie w lewo bliżej widzów).

(Na str.) A, a, otóż są, ale nie wiem, jakto klękać — (ogląda kolana) szkoda kolan, no zresztą na nich skóra nie pęknie, ale sukni pańskiej szkoda, a z takiego cienkiego sukna uszyta. Pan każe, to i trzeba, a dwieście złotych! I jeszcze, jeszcze więcej da, bo dobry pan. — No — dalejże śmiało, raz się pozbędziesz, najpierw do starej — marsz! (idzie i klęka nagle i silnie przed panią Szumską).

PANI SZUMSKA

(podskoczywszy przelękniona).

Jezus! Pan przestrasza!

JAN.

Uchowaj Chryste! Ja nie żaden strach, jeno Agolf — i proszę o rękę panny Zofiji.

PANI SZUMSKA

(wstaje).

Zechciej pan wstać — —

JAN

(wstaje i klęka przed Zofją).

Proszę o rękę panny Zofiji.

ZOFJA.

Niech się pan nie fatyguje. (wychodzi w lewo).

JAN

(wstając uradowany, na stronie).

Swojem zrobił, cóż teraz będzie?!

SCENA 13.

JAN i PANI SZUMSKA.

PANI SZUMSKA.

Pan daruje, ale córka nie ma przekonania; prosimy przecież o dalszą przyjaźń (podaje rękę Janowi, którą tenże trząsa gwałtownie). Bądź pan łaskaw i nadal zabawić w naszym domu, a będziesz nam zawsze miłym gościem.

JAN.

Więc mię nie chce?

PANI SZUMSKA.

Szanuje pana, ale miłości nie czuje.

JAN.

Więc nie chce pewnie?

PANI SZUMSKA.

Tak — zdaje się.

JAN
(na stronie).

Dzięki Bogu! — Byłem w strachu, że mnie doprawdy nasz pan z nią ożeni!

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU II.

AKT III.

Scena przedstawia ogród jak w akcie drugim.

SCENA 1.

WACŁAW i BASIA.

WACŁAW.

U dobrych służysz panów, moja Basiu, dbają o ciebie — — i teraz tak pomyśleli o twoich zrękowinach.

BASIA.

Ej co pomyśleli, to pomyśleli! Co to placków napiekli, mięsa nawarzyli! A muzyczka zamówiona, przynajmniej raz się w życiu wytańczę, (wykręca się w koło) na przekorę temu Kubie!

WACŁAW

(Na str.) Wcale zwinna. (głośn.) Powiedziałaś Kubie, że go podstrzelę?

BASIA.

Powiedziałam — — o, do figielków dobrą mam pamięć! — Kuba ledwie z woza nie spadł, bo właśnie z furą jechał. Ej, zazdroszczą mi też wszyscy tego mojego szczęścia — — ile razy biegnę po wodę, palcem na mnie wskazują i śmieją się szyderczo. „Masz ładnego gacha“, mówiła Antosia od kowala, prawda nic nie skłamała, ale to jednak mię gryzie — — (patrząc z uśmiechem na Wacława). Niezgorszy — — ale czy doprawdy tak bardzo ładny? — — Wykręć się na pięcie, to zobaczę dokumentnie.

WACŁAW
(wykręcając się na pięcie).

No, czym ładny?

BASIA.

Wcale, wcale szykowny — — ale mi się aby nie popsuj!

WACŁAW.

A choćbym się też do której po ślubie umizgał — —

BASIA.

Broń cię Boże!

WACŁAW.

Ależ Basiu, umizgnąłbym się zawsze do kobiety, do tak miłej istotki jak ty!

BASIA
(na stronie).

Co teżto mu się zachciewa! (głośn.) Zawsze nie do mnie, jeno do obcej — —

WACŁAW.

Ale zawsze do dziewczyny — — —

BASIA
(przerywając).

Chryste, dyć nie do chłopaka!

WACŁAW.

Nie pozwolisz dokończyć — — — do dziewczyny podobnej tobie!

BASIA
(tupiąc nogą).

Nie chcę, ani do dziewuch, ani do chłopaków nie pozwolę się umizgać!

WACŁAW.

Więc cóż będę w domu robił?

BASIA.

Chybaś dziś nocy nie dospał, albo możeś zwarjował? Hm.... co będzie robił? To co każdy chłop w swej chacie: drzewa urąbie, wody przyniesie, mierzwę od krówki wyrzuci — —

WACŁAW
(na stronie).

Poetyczne zajęcie... ręce pachniałyby mille-fleurs'em.

BASIA.

Jakoś się kwasisz na tę pracę — — no, no, ja ci pomogę, jam silna i chwatka do roboty; zrobię swoje i twoje, byleś mię tylko kochał!

WACŁAW.

O, i jak kochać będę! (wyjmuje książkę z kieszeni i przewraca karty) Basiu umiesz czytać?

BASIA.

Toć czytam od biedy — a ty widzę umiesz, może lepiej od swego pana? — — (Wacław zapominając o swej roli, siada i czyta pilnie). Jakto się zaczytał — — hm — — ale szykowny, ciągle bym na niego patrzała! Gdyby mnie kto przyprowadził z obcej strony i jego pokazał, powiedziałabym, że to pan — — istny pan, co mu się figli zachciało i wdział sukmanę lokajską! Nos, gęba, nogi, ręce, wszystko małe, pańskie; włosy gładkie i pachnące kiej róże; on też nie potrafi nawet dobrze zemną gadać, czasem nawet tak powie, że nic nie rozumiem — (Wacław zamyślony, oczy wzniesione w górę). Wzdycha ciągle, a nieraz na mnie spojrzy takiemi oczyma — — że się go aż boję. — — — O! Jakto się zamyślił — Chryste, jak on oczy przewrócił! Czy chory? (smutnie) Nie, on mię pewnie nie kocha — — ale pocóżby się

żenił? Do mnie złoto nie ciągnie, jeno zdrowy rumieniec.

WACŁAW

(na stronie wzdychając).

Oby już raz być w swej własnej osobie przy Zofji!

BASIA

(patrząc bojaźliwie na Wacława).

Znów wzdycha — — — coś sobie pod nosem gada, o mnie zapomniał — — — nic innego, tylko ma gorączkę, żeby aby nie zwarjował z choroby!

SCENA 2.

CIŻ i JAN.

(Wacław zobaczywszy Jana zrywa się z miejsca i chowa książkę).

JAN

(wchodząc z prawej idzie na przód sceny. Basia i Wacław cofają się w głąb i żywą prowadzą rozmowę.

(Na str.) O! — Jakto tam sobie gruchają, (patrzą na nich z zazdrością) kiej gołąbki! Czekajcie, nie dam ja wam grochu, nic z tego nie będzie! Każdy swoje, bierz ty sobie mój jaśnie wielmożny swoją jaśnie wielmożną pannę Zofiję, a ja lokaj, służącą Basię! (spogląda na nich) Ta Basia to ciągle do niego się mizdrzy, ciągle mu ząbki pokazuje; na mnie, to nie spojrzy, żeby aby choć raz jeden! (grożąc) Czekaj, dam ci! (Basia staje tyłem do Jana) O.... tego, to mi już za wiele! Tyłem się do mnie odwróciła — — — ale ja ją wykręcę! (tupie silnie nogą).

BASIA

(przestraszona).

Ach!... Jakżem się też przestraszyła, myślałam, że mi kto nad uchem strzelił!

JAN.

Tom ja strzelił — — — ale z bóta!

WACŁAW.

Idź Basiu, bo pewnie już i tak cię szukają.

(Basia wychodząc śmieje się z miny Jana).

JAN

(na stronie).

Już się o nią boi, to ją ztąd wypycha — — — ale Basia jednak moją tylko będzie!

SCENA 3.

WACŁAW i JAN.

(Jan stoi zamyślony).

WACŁAW.

O czem myślisz, gapiu?

JAN.

Ja?

WACŁAW.

A ty! (wyjmuje pieniądze i daje Janowi) Tu masz za to sławne klękanie.

JAN

(bierze pieniądze, całuje rękę Wacława).

Bóg zapłać! (śmiejąc się) Alem je też przestraszył, myślałem, że już na śmierć! Ja pac na kolana, a ona hop w górę, jak z procy! Chi, chi, chi, czyste komedyje jaśnie pan robi.

WACŁAW.

Trzeba było cicho klękać.

JAN.

Kiejm myślał, im mocniej tem szczerzej; no, chciałem dobrze.

WACŁAW.

Kapitalny — — stało się, ale jeszcze nie koniec.

JAN.

O wszyscy święci! Jeszcze nie koniec? Dyć mnie już nie chcą za męża, a cóż ja tu będę robił? Tocto zaraz odjeżdżają, jak kawalera nie chcą. — —

WACŁAW.

Zupełną masz rację, przezorniejszym jesteś odemnie; ale widzisz, że komedja ta jeszcze nie zupełnie skończona, do innej będziesz teraz wzdychał.

JAN

(uradowany).

Do Basi?

WACŁAW.

Wara!

JAN

(smutnie).

Czemu? Kiej ona mi równa.

WACŁAW.

Pamiętaj, żeś jeszcze panem Adolfem.

JAN

(z niechęcią).

Ej, już nie chcę być tym przeklętym panem Agolfem!

WACŁAW.

Nie bój się, już gadać, ani klękać nie będziesz, tylko ciągle całować.

JAN.

Całować? No, to jeszcze, ale kogo? Gdzie?

WACŁAW.

Gdzie? W rękę trutniu, i to pannę Halinę.

JAN

(zdziwiony).

Na co pannę Halinę? Dyć ona wie, że ja głupi lokaj Jan!

WACŁAW.

Panna Halina wie o wszystkiem, ale drudzy nie wiedzą, a teraz pamiętaj, co ci powiem.

JAN
(niecierpliwie).

Ej, znów mam pamiętać, już głowa mi zesiwiała od tego pamiętania!

WACŁAW.

Dostałeś pieniądze, wiesz więc Janie, że na próżno nie obiecuję; a gdy spełnisz ostatnie moje żądanie, większa cię jeszcze czeka nagroda.

JAN
(zaciekawiony).

A co?

WACŁAW.

Będziesz mężem Basi.

JAN
(podskakuje uradowany).

Aj, aj! Wszystko zrobię, (całując Wacława w rękę) już teraz pamiętać będę, całować będę, a włosy mi już nie osiwieją. Pójdę zaraz do Basi. — — (chce odejść).

WACŁAW
(zatrzymując go).

Ani kroku więcej!

JAN
(smutnie).

Czemu?

WACŁAW.

Póki jesteś panem, nie wolno ci się ruszać z ogrodu, usiądź i czytaj.

JAN

(siada zniechęcony po prawej, na przemianę to się kwasi, to ziewa, to spogląda raz w prawo, raz w lewo).

SCENA 4.

CIŻ i HALINA.

(Halina wchodzi z lewej strony).

WACŁAW.

W sam raz nadchodzisz Halino.

HALINA.

Czy znowu nowa intryga? Zdaje mi się, że dosyć byłoby tego, zresztą najwyższy czas Zofji wszystko wyjawić.

WACŁAW.

Sam tego pragnę najwięcej, bo kocham, całą duszą kocham Zofję! Pod wyżyny nieba ją unoszę, otaczam aureolą anielstwa! — Ale i Jerzy musi jeszcze odpokutować za swoją nieufność do ciebie.

HALINA.

I cóż będzie?

WACŁAW.

Objaśniłem już Jana, przyjmij go za konkurenta.

JAN
(wstając, drapie się w głowę).

Mnieć też się zdaje proszę pani, że to — — że to —

WACŁAW
(przerywając).

Chciałeś powiedzieć „głupstwo", ale siedź cicho i milcz. (do Haliny) Darujesz mi Halino, że ciągle cię będzie po ręku całował, bo prawdę mówiąc gadać nie umie, tylko całować, to jeszcze.

JAN.

Prawda — całować, to jeszcze — bo jak gadać z tem państwem, kiej ich czasem nie rozumiem, jak tych wróbli, co terkocą w krzaku.

HALINA.

Więc Jan ma być moim konkurentem, ma całować mnie po ręku — — i cóż z tego?

WACŁAW.

Powiesz, że już przyjęty, że widzisz nieufność Jerzego, więc go porzucasz, słowem trochę go udręczysz.

HALINA.

Żal mi go, ale zasłużył; lepiej odpłacić przed ślubem niż po ślubie — — bo po ślubie byłaby zaraz z tego obraza majestatu, sześć miesięcy wymówek — a może i kłótni. — O, przed ślubem każdy z nich słodki!

WACŁAW.

Więc przystajesz?

HALINA.

Przystaję, tylko wiesz Wacławie, ważniejszy mam kłopot: Szumskiego pewnie nie przebłagasz za twoje intrygi, nie lubi, by sobie z niego zakpiono, to człowiek dumny — bądź ostróżny.

WACŁAW.

Poradzę sobie z nim, byle tylko Zofję mieć po swojej stronie. (do Jana) Gdy pan Jerzy nadejdzie, zbliż się do panny Haliny i całuj pilnie — a uważaj, byś się nie zbajał. (odchodzi w lewo).

SCENA 5.

HALINA, JAN później JERZY.

(Halina siada po lewej, Jan staje za nią).

HALINA
(oglądając się na Jana).

Jaką też ucieszną ma minę, o żeby go tak mama widzieć mogła! Ani przeczuwa figli pana brata; myśli, że uczciwie zajechał i na prostej drodze stara się o rękę Zofji. — Ha, ha, ha, gdyby wiedziała, że Jan gra rolę mego narzeczonego, że Jerzy taki udręczony, Szumski nadąsany, a wszystkiego ten jej Wacuś narobił, byłaby się ugniewała, ale i naśmiała do syta! Już najwięcej

z tego pana Agolfa, bo nader fortunną ma postać. (Jerzy przechodzi głębią z prawej w lewą. Jan zobaczywszy go, całuje w rękę Halinę). Czemu całujesz? Nikogo jeszcze nie ma.

JAN
(cicho).

Dyć pan Jerzy.

HALINA
(spostrzegłszy Jerzego).

A!.. Ale poszedł, to i zażył doskonale na dąsy. (do Jana) Całuj ciągle, uklęknij nawet, (na str.) z pewnością gdzie za krzakiem stoi i podgląda. (do Jana) Całuj głośniej, (Jan całuje i klęka, Halina śmiejąc się) dalibóg, że się rozchoruję z śmiechu. (Jerzy wraca głębią, Halina do Jana) Wstań teraz i nachyl się, niby słuchasz co mówię. (Jan słucha pochylony) Ale cóż z nim mówić będę? Byle mówić, żeby Jerzy widział mnie bardzo zajętą — — a wiem, nauczę go piosnki o Basi.

JAN.

O tak, o Basi, będę jej śpiewał.

HALINA.

Idę do mej Basi,

JAN
(powtarzając).

Idę do mej Basi,

HALINA.

Niechże się nie kwasi.

JAN.

Niechże się nie kwasi,

HALINA.

Bo bardzo kochana. — —

JAN.

Bo bardzo kochana (Jerzy przechodzi głębią).

HALINA.

Od lokaja Jana.

JAN.

Od lokaja Jana. — Wcale szykowna piosnka, pójdę ją zaraz Basi zaśpiewać. (na str. odchodząc) Pan Wacław nie widzi, bo dostałbym bizuny! —

HALINA.

A idź już, idź — dosyć było umizgu do zazdrości.

(Jan wychodzi w lewo).

SCENA 6.

HALINA, JERZY

(wychodzi z prawej i staje zdala).

JERZY.

Pani!

HALINA

(pokrywając śmiech).

Panie!

JERZY.

I jeszcze śmiech pani na ustach?!

HALINA.

Alboż mam płakać, gdy słońce mi świeci?

JERZY.

Słońce? Pani, nie taję się z tem, że umyślnie tu chodziłem, by całej tej scenie się przypatrzeć.

HALINA
(udaje obrażoną).

Również i ja się z tem nie taję, bo widziałam pana przechodzącego.

JERZY.

A więc?..

HALINA.

A więc?..

JERZY.

Przyszedłem się pytać, co to znaczy?

HALINA
(wstając).

Jakiem prawem?

JERZY.

Prawem narzeczonego.

HALINA.

Od dawna pan nieufnością mnie obdarza, a brak zaufania niszczy wszelkie związki miłości.

JERZY
(unosząc się).

Pani, nie chciałbym rozumieć, ale —

HALINA
(spokojnie).

Ale zrozumieć trzeba.

JERZY.

Niestety! Więc to złoto cię olśniło?!

HALINA.

Czy złoto, nie wiem — — lubię prostotę serca.

JERZY.

Prostotę, ale nie rubaszność! Zdaje mi się, że jestem we śnie, albo w obłąkaniu — — a to niestety smutna rzeczywistość!

HALINA.

Dla mnie wesoła — kocham Adolfa —

JERZY
(porywczo).

Na Boga! Nie kończ pani w mojej obecności!

HALINA.

Owszem powiem, będę nawet bardzo otwartą.

JERZY
(z ironją).

Dziękuję.

HALINA.

Dziś mi się oświadczył i przyjęłam, bo widzę, że mię więcej kocha i ceni niż pan.

JERZY
(z oburzeniem).

Niż ja? Pani!

HALINA.

Jeżeli jaką przykrość uczyniłam najmocniej pana przepraszam, (po chwili) zawsze o panu przyjaźnie myśleć będę. — —

JERZY
(kłaniając się).

Zbytek łaski, żegnam panią.

HALINA
(przestraszona).

Pan odjeżdża?

JERZY
(na stronie).

W głosie była trwoga, może jeszcze ostatnia iskierka dawnego uczucia zatlała?! (głośno) Halino!

HALINA.

Bałamucić pana nie myślę, pytam tylko, czy odjeżdżasz?

JERZY.

Odjeżdżam.

HALINA.

Czy zaraz? (na str.) Wcale mi się to nie podoba, nieznośny Wacław piwka mi nawarzył.

JERZY.

Chciałbym w tej chwili...

HALINA
(przerywając).

Niepotrzebny pospiech.

JERZY.

Alboż za mało mnie pani jeszcze udręczyła?! O, już więcej scen takich widzieć nie pragnę!

HALINA.

Nie obmyśliłam tak złośliwego planu, chciałam tylko, żebyś się pan zabawił tańcem wieśniaków, bo dziś Basi zaręczyny.

JERZY
(z ironją).

Bardzo pani względna, aż nadto dla mnie dobra. — Odjechałbym w tej chwili, gdyby...

HALINA.

Gdyby?

JERZY.

Konieczność każe mi jeszcze kilka godzin zaczekać, lecz panią żegnam na wieki! (Odchodzi z ukłonem).

SCENA 7.

HALINA sama.

(Stoi całą chwilę zamyślona).

HALINA.

I cóż? Własną ręką na siebie bicz ukręciłam! Oj Halino, a nuż się na dobre obrazi? — Bo ambitny do szaleństwa, był blady i drżał cały — — Boże, Boże, gotów awanturę zrobić! (oglądając się) Gdzież on poszedł? Nikogo nie widać, żeby choć Wacława spostrzedz, coby wstrzymał jego odjazd. (Chodząc niespokojnie) Jestem niespokojna, jestem nawet bardzo niespokojna — i cóż ja zrobię? Pisać do Jerzego nie wypada, sama intrygi téj również wydawać nie mogę, bo jeszcze większy możeby z tego wyniknął zamęt. — O nieszczęsne figle Wacława! Żeby też aby kto nadszedł mnie pocieszyć, wszyscy gdzieś wsiękli, znikli jak kamfora, a ja tu sama z taką trwogą w sercu! — Lecz czekaj Wacławie, nie ujdzie ci to bezkarnie!

SCENA 8.

HALINA, ZOFJA i PANI SZUMSKA z lewej.

HALINA

(spostrzegłszy je, biegnie do nich).

O najdroższe moje panie, czy odjechał?

ZOFJA i PANI SZUMSKA.

Któż taki?

HALINA

Jerzy.

PANI SZUMSKA.

Doszły nas jakieś niepewne pogłoski, zdaje się, że ma zamiar.

ZOFJA.

O widziałam, już z rana walizę Jerzego pakowali.

HALINA

(przestraszona).

Na miłość Boską — wstrzymać go trzeba!

PANI SZUMSKA

(łagodnie).

Halinko — dałaś mu powód; daruj, że ci tę uwagę robię, ale mówię do ciebie jak do własnej córki, pocóż ta nagła zmiana, przyjęłaś podobno Adolfa?

ZOFJA.

Halino, sama jesteś tak majętną, czy ci tego złota jeszcze za mało?!

HALINA.

O, dosyć już tych żartów, stają się dotkliwe, koniec położę całej komedji!

ZOFJA i PANI SZUMSKA
(zdziwione).

Komedji?!

HALINA.

Wszystko od — a — do — z — komedją, intrygą!

PANI SZUMSKA.

Dzięki Bogu.

ZOFJA.

Nie pojmowałam też ciebie, nie poznawałam mojej Haliny.

HALINA.

Nietylko miłość moja do Adolfa jest zmyśleniem, ale i ten cały pan Adolf improwizowany!

ZOFJA.

Co mówisz?!

PANI SZUMSKA.

Doprawdy?!

} Razem.

HALINA.

Nim opowiem, błagam o pobłażliwość dla największego winowajcy, bo dobry miał cel, ale niestety — środki obrał bardzo niebezpieczne; tym winowajcą: brat mój Wacław.

ZOFJA
(zdziwiona).

Twój zacny brat Wacław, którego nauczyłam się szanować z opowiadań twoich?

PANI SZUMSKA.

Rzeczywiście — czy pan Wacław winien w tej intrydze?

HALINA.

A Wacław, a później i ja, bo zezwoliłam i przyczyniłam się do wszystkiego. (do pani Szumskiej) Dobroć łaskawej pani to mi wybaczy, (do Zofji) Zofjo, twoja przyjaźń niech będzie pobłażliwą, ona mnie do tego ośmieliła.

PANI SZUMSKA.

Jeżeli tylko nikomu nie przypadnie ztąd krzywda, chętnie przebaczam.

ZOFJA.

Przecież kosztowało nas to łez nie mało!

HALINA.

A mnie trwogi i niepokoju!

PANI SZUMSKA.

Cóż skłoniło brata do rozwinięcia podobnego planu w naszym domu?

HALINA.

Raz jeszcze błagam cię, Zofjo, bądź pobłażliwą, bo tu o ciebie głównie chodzi.

ZOFJA.

O mnie?

PANI SZUMSKA.

O Zosię?

Razem.

HALINA.

Wspominałaś Zosiu, że z opowiadań moich nauczyłaś się cenić Wacława, również Wacław, chociaż osobistość twa dla niego była obcą, stawiał cię w niebiosa! Zbadawszy charakter twój, nieraz mu o tobie pisałam i mówiłam. Wacław obałamucony przez dłuższy czas jakąś niewiarą do kobiet, miał chwile zwątpienia i dla ciebie — — a, że niebo obdarzyło go obrzydłem złotem, jak sama nazywasz, chciał się przekonać, czy więcej cenisz pieniądz, czy osobę: Przebiera więc lokaja swego Jana za jakiegoś pana Adolfa, a sam staje się lokajem tegoż.

ZOFJA.

Więc ten lokaj, to pan Wacław? (na str.) Przeczuwałam, bo ile razy zemną mówił serce mi drzało. — —

PANI SZUMSKA.

Intryga ta trochę za daleko zapuściła korzenie.

ZOFJA.

Trochę, to prawda, ale pan Wacław szlachetnie myślał.

HALINA.

Najgorzéj nam będzie przebłagać pana Szumskiego.

PANI SZUMSKA.

To, to, to.

HALINA
(do Szumskiéj).

W łaskawéj pani tylko całą składam nadzieję.

PANI SZUMSKA.

Użyję wszelkich starań. (na str.) Zmiękczy się, jak się dowie, że tak godnego znajdzie zięcia.

HALINA.

Przebaczyłyście mi wszystko najłaskawiej, kochane moje panie, to mię też ośmiela do kilku próśb.

PANI SZUMSKA.

Z największą chęcią spełnimy takowe.

HALINA.

Najpierw proszę o sekret co do całej tej intrygi,

a później — żeby to można Jerzego wstrzymać nie wyjawiwszy mu całej sprawy.

PANI SZUMSKA.

A prawda — nie ma czasu do stracenia, (Halina całuje ją w ramię) biegnę, biegnę (odchodzi).

SCENA 9.

HALINA i ZOFJA.

HALINA.

Najdroższa moja, nie gniewasz się aby na Wacława?

ZOFJA.

Najzupełniej przebaczyłam.

HALINA.

Będziesz i nadal dla niego łaskawą?

ZOFJA.

Czemu? Jakto łaskawą?

HALINA.

Codziennie mi Wacław powtarza, że tobą zachwycony, że uważa cię za anioła, który go wywiódł z przepaści jakichś niedorzecznych zapatrywań, słowem, Wacław cię kocha — — spodziewam się więc, że każdej chwili upadnie ci do nóg i poprosi o rękę.

ZOFJA.

Ależ — za mało mnie zna.

HALINA.

Dużo, dużo miał teraz sposobności bliżej cię poznać — — i ceni cię nieskończenie.

ZOFJA.

Cenię go również.

HALINA.

Nie odrzucisz go?

ZOFJA
(rzucając się jej w objęcia).

Nie, nie Halino!

HALINA.

Najdroższa moja Zosiu, o gdyby to mama wiedziała, cała byłaby szczęśliwa! (namyśla się chwilę, nagle wesoło) Ale wiesz, za te wszystkie przykrości, które przeszłyśmy z łaski Wacława, trzeba i jego ukarać!

ZOFJA.

Ukarać? (namyśla się) Zresztą masz rację, trochę i jemu należy się odwetu. Cóż zrobimy?

HALINA.

Skoro ci wyzna całą prawdę i poprosi o rękę, powiesz, że dałaś słowo Jerzemu.

ZOFJA.

Zmiłujże się, a cóżby Jerzy na to powiedział?

HALINA.

Nim się Jerzy o tem dowie, wszystko wróci do dawnego porządku, zresztą ja to biorę na siebie.

ZOFJA.

Nie chciałabym mieć jakich nieprzyjemności.

HALINA.

Nie lękaj się wcale, więcej dla mnie przypada niepokoju o Jerzego, — idę zaraz przekonać się, czy nie odjechał. (wychodzi).

SCENA 10.

ZOFJA.

ZOFJA

(sama).

Więc z całej próby i walki wieniec zwycięztwa mi przyznano — — chwała Bogu! A zwycięztwo to tem więcej mnie utwierdza w powziętem przekonaniu, że pieniądz sam uszczęśliwić nie może, i że nie ma tej wysokiej wartości, jaką mu przysądza pół świata. Przymioty osobiste, nacechowane szlachetnością, zaćmią każdy blask złota. — Piękną musi mieć duszę Wacław. — (po chwili) — Przypominam sobie, jak nieraz

badawczym wzrokiem na mnie spoglądał, jak twarz jego była myśląca, ze znużenia blada, a od czasu do czasu dobywało się ciche westchnienie. (po chwili, śmiejąc się) Nie pojmuję teraz, jak nie mogłyśmy poznać tej intrygi, bo pan Adolf był aż nadto niezdarny, a Wacław za zręczny na lokaja — — przytem często zadumany i jakaś szlachetność z oczu tryskała — (spostrzegając zbliżającego się Wacława) A!

SCENA 11.

ZOFJA i WACŁAW.

WACŁAW.

Jaśnie pani tak sama?

ZOFJA.

Zdaje się — — —

WACŁAW.

Tak zamyślona?

ZOFJA.

Zamyślona? — Nie wiem.

WACŁAW.

Może czego potrzeba? — Może mógłbym w czem usłużyć?

ZOFJA.

Dziękuję za wszystko, ale zkąd ci ta troskliwość?

WACŁAW
(całując rękę Żofji).

Skarby dałbym za jaśnie panią!

ZOFJA
(żartobliwie).

A Basia? Co dałbyś za nią Janie? Znasz ty co droższego nad skarby?

WACŁAW
(klękając).

Nic nad ciebie pani!

ZOFJA
(udając zdziwienie).

Nie pojmuję — —

WACŁAW.

Pani, masz przed sobą Wacława, brata Haliny.

ZOFJA.

Nie rozumiem, ale proszę, wstań pan.

WACŁAW.

Nie wstanę prędzej, aż przebaczysz, pani, bo jam to tyle intryg nabroił, by cię bliżej poznać — — — poznałem cię Zofjo! — Pani, tyś mi szczęściem, tyś mi rajem, tyś całem niebem mojem! — Przebaczasz mi?

ZOFJA.

Przebaczam, ale proszę, nie na klęczkach panie Wacławie.

WACŁAW.

Pierw pozwól mi pani, zasługiwać sobie na miłość i rękę twoję.

ZOFJA

(na stronie).

Cóż mu powiem? Nieszczęsne intrygi! (głośno) Żałuję — — — ale — —

WACŁAW

(zrywając się).

Ale? Na miłość Boską, jakie ale?!

ZOFJA.

Dałam słowo innemu.

WACŁAW

(w rozpaczy).

Wszak dziś rano pani byłaś jeszcze wolną?

ZOFJA.

Kilka godzin, nawet kilka kwadransy wiele zmienić może.

WACŁAW

(z rezygnacją).

Więc niech wiem przynajmniej, kto jest tym szczęśliwym — —

ZOFJA.

Pan Jerzy.

WACŁAW
(wzburzony).

Jerzy?! Ha, zabiję jak psa!

ZOFJA
(spostrzegając wchodzącego Jerzego).

Boże! (na str.) masz tobie, biegnę po Halinę, bo gotowi się rąbać. (wychodzi).

SCENA 12.

WACŁAW i JERZY.

WACŁAW
(wpadając na Jerzego).

Zabiję cię!

JERZY.

Czyś zwarjował? Jam z tobą w piasku się nie bawił! Janie, potulny Janie, co się z tobą stało?

WACŁAW
(biega niespokojnie).

Zabiję, zabiję!

JERZY
(z flegmą).

Kogo?

WACŁAW.

Ciebie zabiję! Janie, rewolwer!

JERZY.

Wyzwałem twego pana, czekałem godzinę, co nie ma, to nie ma, a teraz ciebie nasyła.

WACŁAW.

Zabiję, boś mi ukradł!

JERZY.

Co?

WACŁAW.

Kobietę, anioła!

JERZY.

Ja do twej Basi się nie mizdrzę, ale twój własny pan, to może. —

WACŁAW.

Zamilczę o wszystkiem, ale zabiję! (woła) Janie — do stu piorunów — gdzie broń moja?!

JERZY.

Z lokajem się nie biję.

WACŁAW.

Oszaleję! — Słuchaj, nie jestem lokajem, będziesz się bił z równym sobie! (wybiega w prawo).

SCENA 13.

JERZY i JAN (z lewej).

JAN
(wbiegając).

Jestem!

JERZY.

Jednegom się pozbył, a tu idzie drugi. Słuchaj, panie Adolfie, jesteś tchórzem!

JAN.

Ja? A com ja znów zrobił?

JERZY.

Czekałem na ciebie najmniej z godzinę na oznaczonem miejscu w lesie, koło strugi — — Powtarzam jesteś tchórzem!

JAN

Przy lesie, przy strudze — — no, ale co?

JERZY.

Jeszcze się pyta! Czy ci przypominać, że zażądałem od ciebie satysfakcji? — — — Nie znoszę, żeby mi tam jakiś obcy truteń narzeczoną bałamucił!

JAN.

Kiej nie rozumiem!

JERZY

(tupiąc nogą).

Do krocset!

JAN.

Ej, niech pan nie klnie.

JERZY.

Chciałem ci w łeb wypalić!

JAN

(przestraszony).

Chryste!

JERZY

(dobywając pistolet).

I jeżeliś się w lesie nie stawił, to już tu mi nie umkniesz! Gdzie masz broń? Dobywaj!

JAN

(trzęsąc się pada na kolana).

Jaśnie wielmożny panie, toć ja żaden pan Agolf, jeno głupiec, truteń, błazen Jan, służący u jaśnie wielmożnego pana Wacława — — — a panna Halina jest moją panią. — Niechże mi jaśnie pan wierzy, a mię nie zabija — — człeku życie tak miłe!

(Całuje go w kolana).

JERZY

(ochłonąwszy z zdziwieniem).

Doprawdy?

JAN

(zawsze na kolanach i płaczliwie).

A zaiste — — Jan lokaj ten pan Agolf, a lokajem jest pan Wacław, mój pan, mój rodzony pan, co go nasza jaśnie pani Wacusiem nazywa — — — Za to wszystko dostałem 200 złotych, ale wolałbym ich nie widzieć, bom tyle wyżył strachu, wstydu, złości! Ja już nigdy tego nie zrobię, ale (Halina zbliża się do nich) niech mię aby jaśnie pan nie zabija!

SCENA 14.

JERZY, JAN, HALINA.

JERZY.

Wstań! (Jan wstaje i z pokorną miną cofa się w tył, Jerzy do Haliny) Pani, racz mi tę zagadkę wytłomaczyć.

HALINA

(śmiejąc się).

Domyślasz się jej pan pewnie doskonale.

JERZY.

Więc cała zmiana serca pani — —

HALINA

(przerywając).

Udana — zmyślona!

JERZY
(uradowany).

Pani! Halino! (całując ją w rękę) Zkądżeż sobie przecież zasłużyłem na tyle przykrości?!

HALINA.

Prawdziwie kochającej kobiecie ufać trzeba, bo nieufność ją drażni, osłabia szczere przywiązanie. Pamiętaj pan o tem zawsze — — całe życie swoje!

JERZY.

Nauczka dobra, tylko, że zgryzotą mi się w pamięć wbiła!

HALINA.

Za zgryzoty będzie nagroda.

JERZY.

Jakaż?

HALINA.

Nazywać cię już będę moim Jerzym.

JERZY.

Najdroższa Halino! (tuli jej rękę do piersi).

HALINA.

A później — —

JERZY.

A później? Czy jeszcze więcej czeka mię nagrody? O proszę, mów jaknajprędzej!

HALINA.

Usilne twoje prośby wysłuchane, ślub za trzy tygodnie.

JERZY
(całując ją w rękę).

O dzięki, stokrotne dzięki! — Warto było cierpieć, by osięgnąć tak wysoką nagrodę!

JAN.

Hura! Będzie wesele, a to człowiek zbierze napiwnego niemało, przyda mi się na moje gospodarstwo z Basią, żeby mi ją tylko mój pan chciał dać! — —

JERZY.

Cieszysz się poczciwcze, a ja byłbym ci o włos kulę w łeb wpakował! —

JAN.

Ej — — — (otrząsa się) brrr — — aż mi zimno — — nie chciałbym być panem, bo jak się te pany rozzłoszczą na siebie, to zaraz sobie te jaśnie wielmożne łby chcą roztrzaskać! — A teraz, (do Haliny) jaśnie pani, czy mogę już wleść w moją skórę?

HALINA.

Już — już.

JAN
(podskakując odchodzi w lewo).

To mi graj!

SCENA 15.

HALINA, JERZY później ZOFJA.

JERZY.

Więc nic już odtąd spokoju naszego nie zakłóci?

HALINA.

Nic, będziemy szczęśliwi.

JERZY.

Ani nawet myśl nas nie rozłączy?

HALINA.

Nawet w myśli będziemy razem — (Zofja z prawej) a zawsze w największej harmonji. (Jerzy całuje rękę Haliny).

ZOFJA

Co widzę? Już w zgodzie?

JERZY.

W najświętszej!

ZOFJA.

Wszak prawda, że wiele nas te intrygi namartwiły?

JERZY.

Niemało! Tem więcej cenię teraz moje szczęście.

HALINA.

Dosyć, że Wacław wszystkim dokuczył, chociaż myśl szlachetna kierowała jego planami.

ZOFJA.

Ale i sam udręczony.

HALINA.

Odmówiłaś mu?

ZOFJA.

Odmówiłam.

JERZY.

Ależ pani — — Wacław tak zacny —

ZOFJA.

Tylko dla żartu — — żart rodzi żart, intryga intrygę.

SCENA 16.

CIŻ i WACŁAW (z prawej).

WACŁAW
(ubrany elegancko staje z rewolwerem przed Jerzym).

Jestem równy tobie, strzelaj!

ZOFJA.

Boże!

HALINA.

Wacławie, nie zabijesz mi narzeczonego!

} Razem.

JERZY.

Z bratem narzeczonej nie strzelam się.

WACŁAW.

Nie wierz mu Halino, pannę Zofję kocha!

JERZY
(ze zdziwieniem).

Ja? Wacławie, to jakaś nowa intryga, pozwól raczej uścisnąć cię jako przyszłego brata.

WACŁAW.

Nie wierzę ci, a dla tego żeś mi ukradł serce kobiety takiej, którą sobie dawno wymarzyłem — — — (wskazując na Zofję) serce anioła — — — — żądam od ciebie satysfakcji — uchodźmy z oczu tkliwych kobiet.

HALINA
(wstrzymując Wacława).

Wstrzymaj się Wacławie, ugniewałeś ty nas wszystkich twoją intrygą, chcieliśmy ci nawzajem dokuczyć. Zofja jest wolną, a że ci zmyśliła, to mój koncept.

WACŁAW
(zdziwiony).

Czy być może?!

ZOFJA.

Nie inaczej.

WACŁAW.

Więc mogę mieć nadzieję?

ZOFJA.

Nawet pewną!

WACŁAW
(klękając przed Zofją).

Pani moja jedyna! (do Jerzego podając mu rękę) Ciebie przepraszam.

JERZY
(ścisnąwszy rękę Wacława).

Ja również; nie poznawszy się nawet, bylibyśmy się zastrzelili!.... — ha, ha, ha. —

HALINA.

Nie daj Boże tego nigdy więcej!

ZOFJA.

Zawsze w miłości i zgodzie.

WACŁAW.

Nie lękajcie się moje panie, wątpię, czy kiedykolwiek będę w drażliwszém położeniu.

HALINA.

Sam sobie winieneś braciszku.

WACŁAW.

Masz rację, kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada — napsułem sobie krwi niemało, ale żalem nie odpokutuję (całuje Zofję w rękę).

SCENA 17.

CIŻ i PAŃSTWO SZUMSCY.

PAN SZUMSKI.

Widzę dekoracje się zmieniły.

WACŁAW
(z ukłonem).

Jestem Wacławem, uniżonym sługą szanownych państwa.

PAN SZUMSKI.

Bardzo mi miło, słyszałem o panu dużo pochlebnych rzeczy — (z urazą) ale ta intryga, w moim jeszcze domu — —

PANI SZUMSKA.

Ależ mężu!

ZOFJA.

Ojcze!

HALINA.

Łaskawy panie!

Razem.

WACŁAW.

Najmocniéj państwa za nią przepraszam; czuję jéj niestósowność, ale nie żałuję, bo najpierw, ufam w łaskawość i pobłażliwość szanownego pana na wybryki młodości, a późniéj, zyskałem wiele: poznałem córkę pańską — i tém poznaniem jéj szlachetnych zapatrywań jestem nad wyraz szczęśliwy! Więc przebaczcie mi, łaskawi państwo — —

PAN SZUMSKI.

Niech i tak będzie — dla gościa czyni się wiele.

PANI SZUMSKA.

A cóż Zofja?

ZOFJA.

Dawno przebaczyła.

WACŁAW.

I pozwoliła — — zasłużyć sobie téj ślicznéj rączki!

PAN SZUMSKI

O, o — już i to nawet — hm, hm, zobaczymy — u młodych to wszystko jak na pytlu.

PANI SZUMSKA

Ocenili się dostatecznie za pomocą tych zawikłań.

WACŁAW
(kłaniając się pani Szumskiej).

Dzięki ci, szanowna pani.

PAN SZUMSKI.

A panna Halina, czy już zwojowała Jerzego?

HALINA.

Już po wojnie — broń złożona.

JERZY.

Wieczny pokój!

PAN SZUMSKI.

Kobiety, kobiety!

HALINA.

Ależ, to nie kobiety same intrygowały, to głowy domu wymyśliły, tak zwykli się nazywać mężczyzni; a my, korony, nachylałyśmy się w tę stronę, gdzie głowy kazały.

SCENA 18.

CIŻ i BASIA zapłakana, później JAN i WIEŚNIACY.

PANI SZUMSKA.

A cóżto ci Basiu?

BASIA

(z płaczem).

Proszę jaśnie państwa, taki wstyd, taka hańba! Gromada zleciała się na muzykę, na zrękowiny, a tu zrękowin nie będzie, bo ten mój kawaler, to pan, a nie żaden lokaj — —

PAN SZUMSKI.

Ej panie Wacławie, tyle niepokoju jeszcze nigdy w moim domu nie było!

WACŁAW.

Raz jeszcze przepraszam łaskawego pana, przyrzekam skruchę i załatwię wszystko — (do Basi) Przebacz mi Basiu, nagrodzę ci to, nie zostaniesz bez męża; zawołaj tylko całą gromadę. (Basia wybiega) Wiele, wiele przewiniłem, i niezasłużenie przypada mi tak wielka łaska, tj. przyjaźń pani, (całuje Zofję w rękę) i przychylność szanownych jej rodziców, ale szczerą poprawą stanę się jej godnym.

(Basia wchodzi z Janem i Wieśniakami i stają w głębi, Jan w ubraniu lokajskiem).

PANI SZUMSKA.

Co też ten biedny Jan sobie teraz myśli? Nie mało się też wycierpiał, nie wie biedak, co z sobą robić!

WACŁAW

(wołając).

Basiu! Janie! (Jan i Basia zbliżają się do Wacława) Przed całą wiejską gromadą zaręczam was — — a za wasze kłopoty dostaniecie w posagu 3 krowy i chatę.

JAN

(kłaniając się do nóg).

Ej! — Dzięki jaśnie wielmożnemu panu, (do Basi) no Basiu, pokłoń się; czyś ty mi nie rada?

BASIA

(płacząc).

Nie chcę i chaty, bo nie chcę i ciebie!

JAN.

Oj, czemu? Czym ci nie szykowny?

BASIA

(zawsze płaczliwie).

Ale ten pierwszy lokaj był szykowniejszy!

(Wszyscy się śmieją).

PAN SZUMSKI.

Chce się jej szyku pańskiego!

ZOFJA.

Pojmuję ją, ceni osobę, a nie pieniądz!

WACŁAW.

Basiu, nie chciałem ci łez wycisnąć — — zaręczam ci, że z Jana będzie mąż najpoczciwszy; a przyjrzyj mu się dobrze, on szykowniejszy teraz w swej sukmanie lokajskiej. (Basia przypatruje się Janowi).

JAN.

Basiu — toć i ja szykowny?!

WACŁAW
(do Basi).

Proszę Basiu za niego.

BASIA.

No, no — kiej już jaśnie pan tak chce — — —

WACŁAW.

Dziękuję ci moje poczciwe dziewcze.

JAN.

Aha! Toć się namyśliła, zobaczysz ty, jaki ja dobry lokaj, lepszy, niż pan Agolf!

PAN SZUMSKI
(do wieśniaków).

A teraz zaśpiewajcie Basi.

Śpiew chórem.

Nie nęciła Basię chata,
Ani krówki trzy,
Chociaż sama niebogata,
Jako wszyscy my.

Serce mając serca pragnie,
Łza jej szuka łzy — —
Basi duszy zysk nie nagnie,
Myśli jako my.

Pan zaręcza, Jan spoziera,
Basia patrzy nań —
On rękawem łzę ociera.
Wszystko dałby dlań!

Zobaczyła, że ją kocha,
Pierścień rzuca tu;
O, nie taka Basia płocha,
Daje serce mu!

ZOFJA

(zdejmuje pierścień z palca i daje go Basi).

Masz pierścień Basiu, (Basia pochyla się do nóg Zofji) oby ci z nim dobrze było!

WACŁAW

(do Jana).

A ciebie moim zaręczę pierścieniem, (bierze rękę Basi i Jana i wkłada pierścienie) bądźcie szczęśliwi! (całując Zofję w rękę) Wiążąc serca wiernych sług naszych, złączyliśmy i nasze!

PANI SZUMSKA.

Basia z Janem w pierwszéj parze, dalejże mazur od ucha!

JAN z BASIĄ

(stają na przodzie i śpiewają zwracając się do Szumskich, Wacława i Zofji).

Dzięki, dzięki za te dary
I za szczęście nasze,
Nie cenimy te talary,
Ale serca wasze!

(Ogólny mazur, po nim zasłona spada).

KONIEC AKTU III.

WICHULEC, Prusy Zachodnie, 17 stycznia 1880 r.